Nr. 6. Warszawa, dnia 11 Lutego (30 Stycznia) 1893 r. Rok XIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2.** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

HOME RULE.

W przyszłym więc tygodniu bil irlandzki wniesiony zostanie pod obrady Izby niższej. Ktoś powiedział, że deszcz, który spadł na pola Waterloo przed bitwą, nadał odmienny bieg losom Europy; inni dowodzą, że nos kobiety, kieliszek wina, splamienie sukni i tym podobne drobiazgi stawały się przyczynami wielkich wypadków. Rzeczywiście wszystkie te bajki i anegdoty przychodzą nam nieraz na pamięć, gdy przypatrujemy się robotom politycznym, rozstrzygającym o życiu, doli i niedoli milionów ludzi. Przypominają się one również wobec ustawy o samorządzie Irlandyi. Jej twórca, Gladstone, rozporządza obecnie w Izbie gmin większością 36 głosów, którą choroba lub lenistwo posłów może w stanowczej chwili jeszcze bardziej uszczuplić. Przypuściwszy nawet, że ten ubytek nie będzie znaczny, przyjąć można, że od 30 ludzi w parlamencie angielskim zależy obecnie, czy Irlandya będzie miała w pierwszej instancyi prawodawczej przyznaną samodzielność, czy też nie. Widok wcale niebudujący!

Ale nietylko ta drobna większość, która jeszcze stopnieć, a nawet zniknąć może, stanowi przeszkodę na drodze *home rule'u*. Musi on bowiem przebrnąć trzęsawisko, zwane Izbą wyższą, chociaż i wtedy nie wyjdzie na grunt twardy. Związek dwu narodów, spojonych konstytucyjnie, nie trzyma się jedynie wolą silniejszego, lecz także mnóstwem nici, które przy rozdziale trzeba rozplątywać lub rozcinać. Irlandya pozostaje względem Anglii w pewnym stosunku państwowo-finansowym. Pierwsza z nich, oszacowana co do swej zamożności przez drugą, dźwiga odpowiednią ilość ciężarów pod postacią podatków, składanych do wspólnego skarbu. Otóż teraz przedstawiciele jej, nie poprzestając na rozluźnieniu spójni polityczno - administracyjnych, żądają, ażeby równocześnie oszacowano ich ojczyznę sprawiedliwiej, tj. ażeby zmniejszono jej brzemię podatkowe. Obliczono bowiem, że gdy ona zapłaci sumę należną wspólnemu skarbowi, nie będzie miała czem pokryć wydatków własnych. Z tego obrachunku niewątpliwie skorzystają ci wszyscy, którzy w duchu są przeciwni usamowolnieniu Irlandyi i przystają na nie tylko przez uległość dla Gladstone'a. Z drugiej znowu strony jej przewodnicy są za zbyt ludźmi umiejącymi ważyć interesy praktyczne i zbyt jasno widzącymi niebezpieczeństwo wyzysku materyalnego, ażeby mogli zamknąć nań oczy dla otrzymania cacka samorządu. A zatem *home rule* ma przeciwników w konserwatystach, w części liberałów Izby niższej, w całej prawie Izbie wyższej, nakoniec w irlandczykach, którzy żądają więcej, niż im przyobiecano. Czy bil zdoła pokonać te wszystkie przeszkody? Wątpimy, przynajmniej co do najbliższej przyszłości.

Zdaje się, że tę wątpliwość podzielają wszyscy, nie wyłączając Gladstone'a, który ciągle jeszcze — według zapewnienia jego wielbicieli — czeka stosownej sposobności i ma nadzieję, że jego geniusz ześle mu w rozstrzygającej chwili pożądane natchnienie. Tymczasem zaś doświadczone koguty tak pieją: bil w pierwszem czytaniu przejdzie dość gładko, ale ponieważ nastręczy wiele trudności, wymagających obszernego rozjaśnienia, więc dalsze nad nim rozprawy odłożone zostaną na długo; gdy znowu przyjdzie pod obrady, albo wywoła opór, do którego przyłączą się sami niezadowoleni irlandczycy i przepadnie, albo ostrugany poprawkami zostanie przyjęty przez Izbę niższą i powędruje do wyższej, która będzie usiłowała tej liberalnej hydrze ukręcić głowę. Wtedy rozpocznie się walka między dwiema Izbami, której koniec położą albo nowe wybory, powołujące do władzy konserwatystów, albo śmierć Gladstone'a. Ta ostatnia byłaby wypadkiem dla całej sprawy zabójczym. Ani bowiem w obozie whigów, ani śród irlandczyków nie ma dziś człowieka, któryby ją umiał podjąć i przeprowadzić, któryby zastąpił Gladstone'a. Przytem z natury rzeczy wynika, że *home rule* samemi siłami irlandzkiemi nie zwycięży, musi on mieć sojusznika a nawet głównego wodza w jakimś znakomitym mężu ze strony angielskiej. Często tacy ludzie wyrastają nagle, my jednak możemy opierać swe wróżby na tych tylko, których widzimy. Obok Gladstone'a zaś nie dostrzegamy jego następcy w tej roli.

Niewesoło tedy zarysowywa się przyszłość *home rule'u*, gdyż spoczywa on na barkach sędziwego i — że tak powiemy — bezpotomnego politycznie starca, który zamierzył spełnić wielkie i trudne dzieło niemal przed otwartym grobem. Jego bil przedzierać się będzie przez rozmaite przeszkody bardzo powoli, a on na przewlekłe zapasy i czekanie nie ma czasu. Życie wypala w nim ostatnie swoje krople, które jeszcze dają mocne światło i gorące płomienie, ale nie obiecują żarzyć się długo. Zanim projekt samorządu zwykłą koleją dowlecze się do swego parlamentarnego kresu, Gladstone może już zejść ze świata. Pojmujemy niecierpliwość, gorączkę i obawy „wielkiego starca.“ Chciałby on przed zamknięciem oczu na wieki widzieć tryumf swojej idei, a tu niemiłosierna rzeczywistość postępuje z nim tak, jak gdyby miała do czynienia z młodzieńcem. Czy on w dreszczach trwogi nie żałuje i nie wyrzuca sobie, że zabrał się do tej pracy tak późno! Czy on nie czuje w nich kary za zwłokę i opieszałość? Być może, a w takim razie z ostatnim liściem jego sławy splotłaby się tragedya.

Z AUSTRYI.

Wiedeń, 3 lutego.

Będzie jak było! — Wynik rokowań. — Dwie drogi.— Treść programu.—Większość, która nie chce być większością. — Deklaracye klubów. — Druga część programu. — Sens komedyi.

Parturinut mentes, nascitur ridiculus mus! Przeszło miesiąc radzili ministrowie i przywódcy stronnictw nad przyszłym kierunkiem polityki austryackiej, osłaniając swe narady głęboką tajemnicą; dwa razy przedstawiano cesarzowi wyniki układów tajemnych, wreszcie otwarły się podwoje gabinetów ministeryalnych i o godzinie z góry oznaczonej, w sposób uroczysty obwieszczono ludom monarchii nowe hasło, które brzmi: będzie nadal, jak było dotychczas!

Jeśli zapoznawszy się z tą myślą przewodnią ogłoszonego dziś „nowego programu,“ rozpatrzymy bliżej jego osnowę, przyznać musimy, że mamy tu do czynienia z istnem arcydziełem sztuki hr. Taaffego. Każde niemal słowo tego oświadczenia rządowego jest obietnicą, a każda z tych obietnic sprzeciwia się innej jakiejś obietnicy, udzielonej poprzednio lub następnie. Każde zdanie, które słyszymy tu z ust rządu, znane jest oddawna, a przecie każde z nich wypowiedziane zostało w formie tak zręcznie dobranej, że mogłoby wydawać się czemś nowem. Każde ze stronnictw może wyczytać w tym programie, co mu się tylko podoba, może wyciągnąć zeń wnioski dla siebie korzystne lub ujemne. Każdy poczytywać się może za zwycięzcę lub też za zwyciężonego. Wobec tego programu można mówić o nowej większości lub też tak samo przeczyć jej istnieniu itd. W wywoływaniu takich optycznych złudzeń dla polityka austryackiego hr. Taaffe, jak wiadomo, jest mistrzem niezrównanym. W obecnym zaś wypadku prześcignął on siebie samego.

Wciągając w skład przyszłej swej większości stronnictwa o zasadach i dążeniach między sobą sprzecznych, rząd miał tylko jeden sposób wyjścia. Mógł on wyłączyć z każdego stronnictwa żywioły skrajne i zakreślić większości w ten sposób powstałej pole działania o granicach dokładnie oznaczonych, przy których wytknięciu należałoby ominąć wszelkie punkty sporne. O takiem to wyjściu z kłopotliwej sytuacyi, w której znajdował się parlament, myśleli wszyscy, którzy nie zrozumieli dotychczas polityki hr. Taaffego. Przypuszczano więc, że z rokowań obecnych wyjdzie liberalna lewica niemiecka, oczyszczona z swych domieszek skrajno-narodowych, że klub hr. Hohenwarta pozbędzie się żywiołów ultrakonserwatywnych i że obie strony zgodzą się na chwilowe choćby usunięcie z porządku dziennego kwestyj narodowych i wyznaniowych i na załatwienie spraw najbardziej piekących z dziedziny społecznej. Nie brakłoby nikomu zajęcia na tem polu.

Przypuszczenie takie mogło jednak urodzić się tylko w umysłach zbyt sangwinicznych. Ktokolwiek patrzył trzeźwo na kierunek polityki rządowej w ostatnim czasie, musiał zrozumieć, że hr. Taaffemu nie chodzi bynajmniej o utworzenie równowagi stałej w określonem tu znaczeniu, że zajmuje on stanowisko wyczekujące wobec zmiany, która dokonała się w Czechach w ciągu lat ostatnich i która dokonywa się jeszcze bezustannie, że więc w tym nastroju uważa on wszystkie kroki, do których zniewala go konieczność, za przejściowe i nie jest wcale skłonnym do nadawania im cech zasadniczych. Takim krokiem zasadniczym byłoby atoli ze strony prezesa gabinetu, jako też ze strony kół najwyższych, wpływających na jego decyzyę, wyłączenie żywiołów feodalnych lub też klerykalnych z klubu Hohenwartowskiego. Nie ulegało wątpliwości, że rząd potrafiłby był przeprowadzić zmianę tego rodzaju w składzie owego klubu, niemniej jednak było niewątpliwem, że nie zechce on okupić ofiarą tak bolesną ustępstw podobnych ze strony liberałów. Mimo pogłosek tedy, puszczanych w obieg codziennie przez prasę wszelkich obozów, było pewnem z góry, że do większości, której fabrykacyą zajmowano się w ostatnim miesiącu, należyć będą wszystkie trzy stronnictwa, a tem samem charakter tej większości określony był dość dokładnie. Miała ona być tymczasową, fabrykat tani a nietrwały, obliczony na zaspokojenie potrzeb bezpośrednich.

Nieznaną była tylko nazwa, którą miał otrzymać ten wytwór i forma jego zewnętrzna. Wyjaśnienia, których udzielił nam pod tym względem program nowo ogłoszony, prześcigają wszelkie oczekiwania. Dowiadujemy się bowiem, że udało się hr. Taaffemu skleić napowrót ów zlepek stronnictw, nazwany większością parlamentarną najprostszym w świecie sposobem. Otrzymał on fabrykat, którego potrzebował, bardzo tanio, bo prawie za darmo. Cena kupna oznaczona w programie równa się zeru. Zamiast ustępstw na korzyść tej lub owej strony widzimy sprzeczne między sobą frazesy, mające zaspokoić żądania wszystkich stron odrazu a nie zaspokajające żadnych w istocie.

Na czele programu umieszczone zostało oświadczenie, że rząd zamyśla opierać się i nadal na zasadach konstytucyi i dualizmu i nie zamierza od nich odstąpić. Oświadczenie to byłoby stanowczem odparciem żądań młodoczechów i feodałów czeskich co do „prawa państwowego czeskiego“ — gdyby nie dalszy ustęp, dający się tłomaczyć doskonale w duchu wprost przeciwnym.

Dalszym punktem programu jest oświadczenie, odnoszące się do „stosunków językowych,“ czyli — jeśli z żargonu właściwego polityce austryackiej dobędziemy sens ogólnie zrozumiały—do ugody czesko-niemieckiej. Hr. Taaffe dobiera tu wyrazy bardzo ostrożnie, tak ostrożnie, że w połączeniu swem nie mają one żadnego prawie znaczenia. Omija on wszelką wzmiankę, odnoszącą się bezpośrednio do spraw czeskich, nie przyrzeka żadnych ściśle oznaczonych kroków ze strony rządu, a przy końcu umieszcza złowrogie dla niemców zapewnienie, że rząd dołoży wszelkich starań, aby zapobiedz w drodze administracyjnej zmianom stosunków narodowościowych — „o ile to będzie możliwem.“

Niemniej dwuznaczne są ustępy, dotyczące stosunków wyznaniowych. Z jednej bowiem strony program zapewnia, że rząd wystąpi stanowczo przeciw dążnościom, mającym na celu szerzenie walki rasowej i wyznaniowej, z drugiej zaś oświadcza otwarcie, że w sprawach szkolnych uwzględnione zostaną życzenia władz kościelnych.

System, wedle którego ułożony został ten program, jest więc bardzo prosty. Nie chcąc pokrzywdzić żadnego z uczestników rokowań, umieszczono życzenia każdego z nich obok siebie. Myśl nader prosta, jak wszystkie myśli genialne. Istne jajko Kolumba!

Tym to, naiwnym trochę, lecz na stosunki austryackie wystarczająco dowcipnym sposobem potrafił hr. Taaffe pogodzić żądania czeskie z niemieckiemi, a liberalne z konserwatywnemi. Jako jedyne punkty wyraźniejsze w tym chaosie sprzeczności i pustych frazesów możnaby uważać

2\

Wanda Grot-Bęczkowska.

MARYŚKA.

II.

Lekki wietrzyk powiał od wschodu. Przeleciał po wierzchołkach drzew, musnął trawy i liście, obudził ptaki. Niebo mieniło się purpurą... wstawało słońce.

Ryk pędzonego na pastwisko bydła zmieszał się z nawoływaniem pastuchów, ze skrzypieniem żórawi u studni. Ruch i wrzawa zapanowała dokoła. Z obory wyszedł Walenty. Spojrzał na słońce, splunął i przekleństwo z ust mu wybiegło. Ociężałym, powolnym krokiem wsunął się do sadu. Urwał wiśniowych liści i gębę okładać zaczął. Krew została na liściu, a natomiast pokazała się dziura. Czuł ból dotkliwy, a i wstyd mu było między ludźmi się pokazać. Rozerwał koszulę i białem płótnem twarz owiązał.

— Boli, taj prawda — mruknął. Alem ci bestyo zapłacił! Tęgom cię ukąsił, kiej ci aże uszysko odleciało. Tęgom ukąsił!

Zaśmiał się dziko i ku karczmie poszedł. Tony fujarki ozwały się blizko. Pastuch zatrzymał się przy wrotach Błażejowego podwórka. Maryśka zwykle wyganiała mu krowy. Zdziwił się, gdy zobaczył oborę jeszcze zamkniętą. Pode drzwiami siedział Morus, drapał ziemię pod progiem i wył zawzięcie. Pastuch zdziwiony podszedł ku oborze.

— Wściekła się bestya, a bo co? — rzekł do siebie. Musi śpią jeszcze u Błażejów... Sam wypędzę krowy, ino bieda, co pewnikiem nie dojone.

Wszedł do obory, a za nim pędem wpadł Morus. Skoczył za ogrodzenie i skomleć zaczął.

— Co on dziś wyrabia?— medytował pastuch.

Przelazł za przegrodę i zobaczył leżącą na słomie dziewczynę.

— Maryśka, o lo Boga! A kajże ty tu wylegiwać się przyszła? Nie masz to komory, hę? A wstawajże przecie. Toć bydło czas wyganiać.

Maryśka nie poruszyła się nawet.

Pastuch pochylił się nad nią i bacznie przyglądać się zaczął.

— Maryś, obudź no się... matula cię wołają. A dychnijże!.. Umarła, czy co?..

Wlepił przerażone już teraz oczy w bladą twarz dziewczyny.

— Wczoraj widziałem, jak przez łąkę gnała, ino się trawa za nią kurzyła, a dziś by umarła? Robaki ją pewnikiem na dołku ścisnęły i bez to leży.

Wylazł z zagrody, wody w szkopek nabrał i zaczął bryzgać w twarz dziewczyny. Po chwili podniósł go do góry i wylał cały na jej głowę.

— A no, potopiłem widać robaki — zaśmiał się uradowany, bo czarne oczy dziewczyny otworzyły się nareszcie — bezprzytomne i dzikie.

Chłopak znów po wodę skoczył.

— Napij się teraz, Maryś — prosił — albo lepiej zaczekaj, wydoję siwuchę i dam ci mleka... Nastąp się, siwucha — krzyknął niecierpliwie.

Usiadł na małym stołeczku i zabrał się do dojenia.

Bardzo lubił dziewczynę. Dała mu nieraz czerwony skrawek do koszuli i poczęstunku nie żałowała. Roztkliwił się, patrząc na nią. Uniósł jej głowę, mlekiem napoił, podjął z ziemi i na nogi postawił.

— No i co, Maryś? — pyta. Lepiej ci teraz? Już cię nie dusi na wnętrzu, co?..

Dziewczyna zatoczyła okiem dokoła i wstrząsnęła się; przypomniała sobie wszystko i jęk głęboki wyrwał się z jej piersi.

— O doloż moja, dolo—szepnęła. Gdzież ja się obrócę teraz, sierota biedna. Do chałupy mi już nie wracać, ani we wsi zostać.

wzmiankę o „pierwszeństwie, przysługującem językowi niemieckiemu przy komunikowaniu się urzędów między sobą,“ jako też dalszą uwagę o „wpływie władz kościelnych na szkołę.“

Tyle co do formy zewnętrznej, w którą ubrano wynik obrad tajemniczych. Co do nazwy, którą ochrzczono płód ten chorowity, to jest ona dość skromną. Wprawdzie przy końcu swego programu zwraca się hr. Taaffe do stronnictw z propozycyą utworzenia „stałej większości“ i proponuje im nawet złożenie komitetu wykonawczego, mającego stanowić, jak to kiedyś było, stały organ parlamentu w stosunku do rządu, lecz wezwanie to jest tylko czczą formą. W istocie bowiem zarówno prezes gabinetu, jak i przywódcy stronnictw, doszli wnet po rozpoczęciu rokowań do przekonania, jeśli nie mieli go już od początku, że wobec charakteru przejściowego nowej sytuacyi niepotrzebnem byłoby wyszukiwanie nowych nazwisk dla niej. Zachowano więc dotychczasowe miano polityki „wolnej ręki“ i każde ze stronnictw w odpowiedzi swej na program rządowy zastrzegło sobie niezależność zupełną, czyniąc zachowanie swe zawisłem od kroków przez rząd przedsiębrać się mających w kwestyach zasadniczych, czyli, mówiąc ściśle, w kwestyi ugody czesko-niemieckiej i szkoły wyznaniowej.

Hr. Taaffe ma więc znów to, czego sobie życzył: większość, która uchwali budżet i załatwi drobne sprawy bieżące aż do jesieni. Większość ta wprawdzie nie chce nazywać się większością, ale prezes gabinetu jest człowiekiem wyrozumiałym i nie dba o formę, ani o nazwę. Nie przygnębia go też myśl, że większość ta jest niezdolna do przeprowadzenia owych reform, które nie bez ironii umieścił sam w drugiej połowie swego programu: że nie może zająć się ani „polepszeniem losu klas socyalnie upośledzonych,“ ani reformą średniowiecznych kodeksów cywilnych i karnych, gdyż przy pierwszej dyskusyi zasadniczej rozprysnęłaby się na kawałki. Chodziło mu o to, żeby znaleźć się znów na owem miejscu, na którem stał w chwili rozbicia się ugody czesko-niemieckiej przed dwoma laty. Od tego czasu zdarzało mu się już częstokroć, że prąd wypadków unosił go to w tę, to w ową stronę, lecz dotychczas udawało mu się zawsze wrócić do owego stanowiska bezpiecznego, chociaż wymagało to za każdym razem większego wysilenia. Obecnie musiał on już przeprowadzić w tym celu całą komedyę polityczną, w której wydzielił rolę nawet cesarzowi; jak będzie przyszłym razem?

S—l.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Odkrycia w sprawie panamskiej postąpiły jeszcze o krok jeden i to dosyć ważny. Rochefort ogłosił w swem piśmie, że wódz radykałów, Clemenceau, dostał od Hertza $3\frac{1}{2}$ miliona franków. Nad „burzycielem gabinetów“ wisiała ciągle chmura od czasu, gdy stwierdzono, iż był u Hertza z Reinachem w przeddzień śmierci tego ostatniego. Miał on w tem spotkaniu odgrywać tylko rolę „świadka,“ ale każdemu nasuwało się pytanie, czemu Reinach właśnie jego wybrał sobie za towarzysza odwiedzin? Nareszcie z owej chmury spadł piorun, który, zdaje się, ugodził śmiertelnie pogromcę ministrów. Zmuszony interpelacyą do zabrania głosu w Izbie, oświadczył: Podniesiono przeciw mnie bardzo głupią skargę. Zawiadomiłem już komisyę śledczą, że księgi *Justice* (jego dziennika) są do jej rozporządzenia; co do mnie, jestem również do dyspozycyi władz i sądu. Ale nietylko poddaję się prawom krajowym, żądam także opieki prawa. Gotów jestem do wszelkich odpowiedzi i wyjaśnień. Więcej nie mam nic do powiedzenia. Nie brzmiała zapewne w tych słowach nuta szczerości, skoro Izba przyjęła je „grobowem milczeniem.“ Nadto główny dowód obrony Clemenceau'a — książki administracyjne *Justice* — nie posiada żadnej siły przekonywającej, bo któryż przekupiony wydawca, czy redaktor, zapisałby do nich łapówkę! Musiałby to być naiwny głupiec, a takich nie przekupują.

Izba oskarżeń uwolniła od odpowiedzialności b. ministra Rouviera, senatorów Grevego, Renaulta i Devesa, sądzeni więc będą tylko: jako przekupujący K. Lesseps i Fontaine, a jako przekupieni: b. minister Baihaut, deputowani: Proust, Dugue de la Fauconnerie, Sans Leroy, Gobron i senator Beval. Gazety przyjęły to orzeczenie trybunału krzykiem na pobłażliwość względem niewątpliwych winowajców, którym przepowiadają gorzkie dni za to, że się nie oczyścili z zarzutów przed sądem przysięgłych.

Pogoń za zbiegłym Artonem, jednym z głównych oszustów ze spółki Reinach-Hertz, trwa ciągle, ale bezskutecznie. Uciekłszy z Bukaresztu, a następnie z Pesztu, ukrył się w Dreznie, ale i stamtąd umknął w porę przed agentami policyi francuskiej.

„Panamino“ również wyławia coraz więcej grubych ryb, które złapały się na złotą wędkę szachrajskich banków. Według zeznań uwięzionego senatora Tanlonga, oprócz gabinetu Rudiniego wszystkie inne ministerya czerpały z Banku rzymskiego. Czy pan senator się mści lub wywiera nacisk na ludzi wpływowych, ażeby go bronili, czy też prawdę mówi — trudno orzec.

Rozprawy nad programem rządu w parlamencie angielskim uwydatniły znamienną cechę polityki tego kraju, który rozłamując się na dwa stronnictwa w sprawach wewnętrznych, w zewnętrznych posiada tylko jedno — strzegące gorliwie łupów zdobytych i myślące o nowych. Wysłuchawszy oświadczeń rządu co do Egiptu i Ugandy, lord Salisbury nie mógł im odmówić swej pochwały i przyznał, że Gladstone ściśle wykonywa jego plany.

Niewiadome są dotychczas losy projektu reformy wojskowej w Niemczech, gdyż stanowisko rozmaitych grup parlamentarnych wobec niego pozostaje ciągle bądź zagadkowem, bądź nieprzyjaznem. Na hr. Capriviego biją już śmiertelne poty.

Milan uległ jakiemuś gwałtownemu przeistoczeniu. Nietylko połączył się z żoną, którą zniesławił, ale stał się dziwnie czułym na wszelkie obrazy, które dotychczas wcale go nie obchodziły. Pojechał do Frankfurtu dla dowiedzenia się, skąd we *Frankf. Ztng.* poczerpnięto wiadomość o jego stosunku z baletniczką paryską, Subrą i o jej skardze sądowej w sprawie długu. Nie otrzymawszy należytego zadośćuczynienia, wytoczył gazecie proces.

Wyspę Zante nawiedziło straszliwe trzęsienie ziemi, które zniszczyło prawie całą. Kilkadziesiąt tysięcy ludzi pozostaje bez dachu.

Cholera występuje znowu, jako czynnik polityczny.

Kajże ja pójdę, kaj się podzieję?.. Pójdę do Jędrka — szepnęła wreszcie — toć mówił tyla razy, co mnie miłuje. O rety, o rety!.. Bójta się Boga, jak mnie wszystko boli...

Wybiegła z obory, jak nieprzytomna, nie obejrzawszy się nawet na Matusa.

Pastuch palce w gębę wsadził, oczy wytrzeszczył i stał. I byłby tak stał, Bóg wie dokąd, gdyby nie „graniasta,“ co mu machnęła ogonem przed oczami siarczyście. Oprzytomniał. Wyszedł z obory, myśl o Maryśce wciąż jednak wracała.

— Co jej się zrobiło? — medytował. Pewnikiem pobili się z gospodarzem. Oj! głupia. Nie poszłaby to w służbę ano, a nie siedziała w chałupie, kiej taka psia wiara szwagier rządzi.

Pokiwał głową i poszedł.

Maryśka tymczasem skoczyła do sadu, potem na łąkę i pobiegła w stronę jeziora. Nie odpoczęła nawet na kępie. Obmyła w jeziorze zakrwawioną twarz i przy tem poruszeniu skaleczone resztki ucha zabolały ją tak silnie, aż ryk wściekłości wydarł się z jej piersi.

Ach, ona zapomniała... zapomniała, że ten niegodziwiec odgryzł jej ucho.

Jakże ona teraz może iść do Jędrka?.. Odepchnąłby ją ze wzgardą. Czuła to.

Ileż razy mówił jej, aby chałupę rzuciła i w służbę poszła. Nie słuchała. Robić jej się nie chciało, wolała spać w sadzie, albo łazić dzień cały z kąta w kąt i czekać, aż się z nią Jędrek ożeni. Ha, stało się! Już ona nie popłynie do Jędrka. Wstydu by się ino najadła.

Łagodne skomlenie psa zwróciło jej uwagę. Pogłaskała go i przypomniała sobie, jak przed rokiem przybłąkał się do niej, gdy z jarmarku wracała. Boki miał zapadłe, szerść skołtunioną, łapy pokaleczone. Odpędzić się nie dał i wlókł się dalej. Niosła w węzełku bochenek chleba i kawał wieprzowego gnata do kapusty. Głodny pies zwąchał te specyały i nie miał siły od nich się oddalić. Dziewczyna siadła dla odpoczynku. Nogi ją bolały okrutnie, węzełek ciążył na ręku. Utkwiła oczy hen daleko, gdzie czerniał bór sosnowy i zadumała się: co też tam za tym borem być może... Wtem coś mokrego uczuła na wyciągniętej nodze. Spojrzała... i oczy jej spotkały się ze wzrokiem psa, bystro w nią wpatrzonego. Wymowne były jego oczy. Jakby we łzach skąpane, spoglądały tak prosząco, tak rzewnie... Opowiadały o razach, zadawanych kijem przez złych ludzi, o kopaniu wiejskich dzieciaków, o głodzie strasznym. Maryśce ckliwo się zrobiło. Pogłaskała go i do węzełka sięgnęła. Pies ogonem machać zaczął, oczy mu biegały niespokojnie. Dziewczyna odkroiła chleba, odcięła kawałek sadła i psu podała.

— Będziesz — rzekła — z Matusem za krowami chodził. Siwucha ciągiem ucieka w Grzelową pszenicę, jak ją chwycisz za łydę, to i nie poleci. A no, pójdziewa do do domu.

Pies przywiązał się do Maryśki, jak to psy tylko potrafią. Wdzięcznym być też umiał. Za ofiarowane sobie resztki chłopskiej strawy pilnował krów, Jacuś jeździł na nim, jak na koniu, mały Floruś patyczkiem usiłował mu świecące ślepie wydłubać. Morus na wszystko pozwalał. Gdy mu dopiekli, szedł do Maryśki i póty się łasił, aż go pogłaskała. Walentego nienawidził. Z początku zaraz warczał na niego i kły wysuwał, ale poczęstowany kopnięciem, nie wyjawiał już uczuć swoich otwarcie. Tylko gdy Walenty zbliżał się do Maryśki, ślepie gorzały mu jak u wilka.

I teraz poczciwe psisko instynktownie odgadło smutną dolę Maryśki. Łasił się u jej nóg i bystro patrzył w jej oczy. Dziewczynie łzy po twarzy pociekły.

— Ty ze mną nie pojdziesz, Morusku. Będziesz pilnował Matusi i Jagny, a bacz, coby ten psia wiara Florkowi nie dokuczał. Mnie już nie wracać do domu.

Wskoczyła w małe czółenko, które skrytestało w sitowiu i wypłynęła na jezioro.

Pies chciał się rzucić na nią, pogroziła mu wiosłem. Nawykły do posłuszeństwa, stał już tylko na brzegu, żałosnym wzrokiem i skomleniem żegnając Maryśkę.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA FRANCUSKA.

Stéphane Mallarmé: Vers et prose. — Marceaux choisis. — Nietzscheanizm i dekadencya. — Barrès.

Niechaj ci, co chcą „literatury zdrowej," otworzą na oścież okna i oddychają całą piersią. Ale zgłodniali wrażeń subtelnych będą napewno wdzięczni dekadentom, tym artystom chorobliwych i zacisznych kątów duszy i szlifierzom słowa. Szukają oni „sensacyi," których jeszcze nie starło dotknięcie pospolitości i wyrazów nieskalanych, nieprzeżutych, nie tych, co obiegają w każdodziennym użytku, bez szkieletu i unerwienia, bez duszy. Trzeba więc ułożyć nowy słownik, a co główniejsza, trzeba nadać frazesowi budowę oryginalną, chociażby fantastyczną i szaloną, któraby rozdzierała zwykłe skojarzenia myśli. Właściwie mówiąc, rozumowanie dla tych, co nie hołdują namaszczeniu szkoły, jest grą słów, z tą różnicą, iż gra słów nie daje się tłomaczyć i godzi się z poezyą, obrazowością i paradoksem. Nic dziwnego, iż Nietzsche stroniąc od utartych gościńców logiki, używał tylko aforyzmów i nigdy nie zarzucał mostów nad ich otchłanią, a niektórych dekadentów nie podobna czytać bez objaśnień. Ale są to jeszcze ci wyjątkowi pisarze, którzy umieją przykuć uwagę, a nieraz i oszołomić. Zupełnie jak Wagner w muzyce: oprócz kilku klasyków, świeckich i kościelnych, tylko on posiada tajemnicę targania nerwów i bolesnych entuzyazmów. Jakiś Meyerbeer lub Verdi i wogóle większość „mistrzów" XIX stulecia jest naszej duszy tak obcą, jak romanse Dmochowskiego *). Nie czynimy więc dekadentom grzechu z ich złożoności. Des Esseintes Huysmansa marzy o „dziele," któreby się mieściło na jednej stronicy, w którem każdy wyraz zawierałby cały świat blasku i harmonii. Jest to także marzeniem Mallarmégo. Tęskni on do poezyi, któraby była muzyką i malarstwem.

*) Trudno się na to zgodzić. *Red.*

Posądzają tego dekadenta, iż przez afektacyę jest niejasny i przez dumę otacza się mrokami. Nie sądzimy. Zdrowy rozsądek jest to cecha, bez której poeta może się doskonale obejść, a w sztuce nie wszystko powinno być zupełnie jasne. Jeżeli pochodnie na uczcie Muz kopcą, to mamy tylko nowy efekt. Mallarmé jest więc ciemny na wzór gnostyków i kabalistów, trzeba go pojmować uczuciem bardziej, niż umysłem. Niektóre jego rzeczy czynią wrażenie rzadkich i nieznanych zapachów, inne — świetlanych przezroczy, po których pływają białe lilie. Wszystkie jego wiersze są niedokończone, są to fragmenty, przypominające płótna preraphaelistów o wychudłych kształtach, za któremi kryje się cały świat nieziemski. Największym poematem jest „Popołudnie Fauna," gdzie za pomocą cieni kolorowych i gorących autor wyraża myśl, iż żądza jest większą rozkoszą, niż jej zaspokojenie. Inne rzeczy — to szczątki doskonałości. Niepodobna przytaczać ich treści. Wolimy przedstawić jeden z jego poemacików, pisanych prozą i zupełnie zrozumiałych. Występuje w nich główna cecha Mallarmégo, a mianowicie, iż jest to marzyciel ścisły, marzyciel analista. Poemacik ten nosi tytuł „Żale jesienne."

Odkąd Marya opuściła go, by się przenieść na inną gwiazdę — Oriona lub zieloną Wenus — kocha samotność. Spędza długie dni z kotem, który jest towarzyszem mistycznym, duchem i z jednym z ostatnich autorów dekadencyi łacińskiej. Gdyż od czasu, jak białej istoty już niema, kocha wszystko, co się streszcza w tym jednym wyrazie: upadek. A więc ulubioną dlań porą roku są ostatnie dni lata, które wyprzedzają jesień, a godziną przechadzki jest ta, gdy słońce odpoczywa przed zniknięciem, z promieniami mosiądzu na szarych murach i miedzi na szybach. Również literaturą, od której duch jego żąda rozkoszy, będzie konająca poezya ostatnich chwil Rzymu, o tyle wszakże, o ile ona nie tchnie jeszcze odświeżającym powiewem barbarzyńców i nie szczebioce dziecinną łaciną pierwszej prozy chrześciańskiej. „Czytałem — powiada autor — jeden z tych drogich poematów, na którym plamy tynku mają dla mnie więcej uroku, niż rumieniec młodości i pogrążałem dłoń w szerść czystego zwierzęcia, gdy pod mojem oknem zaśpiewała katarynka tęskno i melancholijnie. Grała w wielkiej alei topolowej, której liście wydają mi się ponure nawet podczas wiosny, odkąd Marya przeszła po niej, ze świecami, po raz ostatni. Instrument smutków, tak, rzeczywiście. Fortepian drga płomykami, skrzypce otwierają przed duszą rozdartą światło, lecz katarynka w mrokach wspomnienia każe rozpaczliwie marzyć. Grała melodyę wesoło pospolitą, która wzbudza radość w piersi przedmieścia: skąd jednak pochodzi, iż zwrotka szła mi wprost do duszy i kazała płakać, jak ballada romantyczna? Smakowałem ją zwolna i nie rzuciłem pieniądza przez okno, w obawie, iż się poruszę i spostrzegę, że instrument nie śpiewał sam."

Mallarmégo na równi z innymi dekadentami charakteryzuje zaprzeczanie rzeczywistości, natury, czynu i ślepych instynktów, ponad które przenoszą marzenie, sztukę i refleksyę. To tylko nasza przejściowa epoka mogła wydać dwie tak sprzeczne a jednak pokrewne teorye, jak nietzscheanizm i dekadencya. Jest to poezya w głowie Meduzy, poezya tak straszna i tak potężna, iż możnaby zapytać, czy człowiek nie jest istotnie tem zwierzęciem okrutnem i lubieżnem, o którem marzy Nietzsche. Kto zechce zaprzeczyć magnetycznej wielkości w zimnem okrucieństwie Borgii, które nie szuka bynajmniej zapomnienia w nocnej orgii: przy blasku pochodni i muzyce nocy Walpurgowej, w komnacie obitej kirem tańczą obnażone kobiety. Jest jakaś żywiołowa potęga w tem majestatycznem zwierzęciu Nietzschego, które nakształt lwa lub tygrysa nie zna żadnych wewnętrznych reakcyi. Ale ideał ten jest w założeniu swem niemożliwością: jego twórca, na progu szaleństwa, z rozstrojonym mózgiem, wyobraził siebie właśnie człowiekiem stalowych nerwów. Pora bezpośrednio potężnych instynktów bezpowrotnie minęła. Istnieje prawo psychologiczne *), iż popędy zanikają, gdy na nie skierowaną zostaje refleksya. Co najwyżej ideał Nietzschego mógłby być odtworzony sztucznie, wysiłkiem woli. Człowiek tak się oddalił od zwierzęcia, iż stanowi coś wprost przeciwnego—artystę. Przypomnijmy, iż począwszy od natury, o której „niebotyczności" i „dziewiczości" europejczyk prawie już niema pojęcia, a zachwyca się tylko parkiem i laskiem o „niebotyczności" sztucznej, a kończąc na pięknie kobiety — stanowią je strój, smak, styl, które przetwarzają naturalny podkład — wszystko jest przedmiotem kultury i sztuki. Toż samo znajdziemy w świecie ducha. Człowiek cywilizowany,

*) Guyau.

Wieczór był późny, gdy do Wrzosowa przybyła. Miała tam znajomą kumę matuli i do niej poszła. Opowiedziała jej krótko, że pokłóciła się ze szwagrem i w służbę pójdzie gdzie daleko, żeby tylko od niego najdalej.

— Com ja jemu winna, com ja winna?.. powiedzcie jeno moi złoci?.. skarżyła się, łkając dziewczyna.

Stara pogłaskała ją po głowie.

— Możesz se u mnie zostać, Maryś — rzekła. Kąta ci nie pożałuję. Pomaleńku to sobie i służbę znajdziesz. Idź ino spać teraz, bo już i mnie śpik na oczy włazi.

Nazajutrz, ledwo słonko wstało, zerwała się Maryśka. Stara krzątała się już po izbie. Dziewczyna objęła ją za nogi.

— Idźcie w niedzielę do matusi — prosiła gorąco — powiedzcie, com bez tego rozbójnika z chałupy uciekła. Niech o mnie nijakiego frasunku nie mają. Pójdę do służby, kaj do inszej parafii, żeby się ino do mnie nie czepiał. Ja tu kiedy do was się dowiem, to mi rozpowiecie o wszystkiem.

Popłakały się obie, stara ją pobłogosławiła i dziewczyna w świat ruszyła.

Słońce już dobrze ku zachodowi się kłoniło, gdy przyszła do Malinówki. Stara jej powiedziała, że we dworze dziewczyny do kredensu potrzebują. Państwo siedzieli właśnie przy herbacie, gdy dziedziczka do pokoju wprowadzić ją kazała. Niemłodzi już oboje, patrzyli z dumą na jedynaka syna, który bujał się w fotelu, puszczając dymek z wybornego cygara, niedbały, obojętny, niedający się zwracać uwagi ani na obecność rodziców, ani na aromatyczny napój przed nim stojący.

Maryśka zatrzymała się u progu nieśmiało.

Panicz obrzucił ją bystrem spojrzeniem.

— Skąd jesteś, moja kochana?— spytała dziedziczka.

Maryśka smutne swe dzieje opowiedziała w krótkości. Przy wspomnieniu o matce łzy jej z oczów pociekły.

— No, no, uspokój się — rzekła pani. We dworze źle ci nie będzie. Bądź tylko pracowitą, poczciwą i skromną. Żartów, bałamuctw żadnych z chłopakami nie pozwalaj sobie, bo ja tego nie lubię i nie toleruję. Za najmniejsze wykroczenie przeciw skromności surowo karzę.

Jedynaczek zaczął śmiać się do rozpuku.

— Pyszna jest mama, paradna! Cóż obchodzić by mnie mogła cnota jakiejś tam wiejskiej dziewczyny. To jej rzecz... Nieprawdaż papo?

— No, widzisz mój Fonsiu — odparł ojciec, dumny, że jedynak, zwykle narzucający zdanie swe arbitralnie, zwraca się obecnie do niego. Widzisz Fonsiu, matka ma poniekąd racyę. Sądzę, że koniecznem jest zdrowe ziarno rzucić na tę nieuprawioną glebę. Nuż się przyjmie...

Synalek roześmiał się szczerze.

— Staroświeckie pojęcia. Ale patrz no papa... Na honor, ta dziewczyna ma śliczne oczy. I te krucze włosy przy żółtej cerze wcale nieźle efektują. Przyjmij ją mama, proszę. Dobierałaś dotąd same straszydła...

— Ależ Fonsiu, mów ciszej — ostrzegała matka. Kompromitujesz się.

— Bynajmniej — odparł swobodnie. Cóż taka gęś rozumie!

Maryśkę pozostawiono we dworze.

Kilka pierwszych miesięcy przeminęło jako tako. Stara kuma poczciwa o matce i Jagusi od czasu do czasu przynosiła jej wieści. Od niej to dowiedziała się Maryśka, że Jędrek do losów stawał, że zły numer wyciągnął i za kilka dni wychodzi daleko, że mateczysko gorzej zaniemogła, a Jagna ledwo dyszy. Zgryzła się dziewczyna i poszła pokłonić się pani, aby ją na parę dni do swoich odpuściła. Pani pozwoliła, bo Fonsio wstawił się za dziewczyną i Maryśka nie zwlekając ani chwili, pobiegła do Żelistowa. Gdy wchodziła do wsi, noc już była, światła w chałupach pogasły. Upadała ze znużenia, serce jej biło, jak młotem.

— O matuś, matuś — szeptała — moje kochanie złociste, aby ino ciebie zobaczyć.

jest na każdym kroku aktorem. Każdy jego czyn jest bardziej złożony i mniej bezpośredni, niż ruchy zegarka, który odbija w tak małej objętości obroty ziemi. Chodzi już tylko o to, by człowiek był nie tylko aktorem, ale aktorem własnej sztuki, aktorem i twórcą. Jedyną rzeczą interesującą jest dusza. Świat nie istnieje. Człowiek jest to marzyciel, a wszechświat tylko kroplą narkotyku: my nie wiemy nawet o jego nieskończoności, to tylko wiemy, iż duch ludzki jest nieskończony. Gdyby wszechświat miał realnie tylko objętość jajka, a każdy punkt matematyczny jego obrębu był zajęty przez istotę myślącą, człowieka, to każda z tych małych bestyj rozsunęłaby skorupę tego jajka do bezbrzeżnej przestrzeni i napełniłaby drobne jego rozmiary błękitem firmamentu, tajemniczym kręgiem słońca, tonącego codziennie w bolesnych drganiach i ognistych słupach na wielkiej melancholii morza, mglistym światem o głuchych szmerach życia wewnętrznego i całym rozwojem tragedyi dziejowej. My stajemy w zdumieniu, nie przed temi ruinami wspaniałego zwierzęcia, jakiem był człowiek biblijny, lecz przed tem ogniskiem, przed tym wszystko-pożerającym stosem, jakim jest mózg współczesny!

Nietzsche ze swoim nad-człowiekiem zwierzęciem jest dzieckiem wobec tych nieograniczonych widnokręgów twórczości psychologicznej, które się ze wszystkich stron rozwierają. Byłoby dziecińswem dawać recepty, jakim człowiek ma być. Będzie tem, czem być zechce. A jeżeli zechce urzeczywistnić typ „nad-człowieka," to będzie miał przed sobą zadanie (éssai) czysto psychologiczne, które każdy dobry artysta codziennie dokonywa po części na scenie, wchodząc nietylko w ruchy zewnętrzne, ale i w uczucia danego typu. Rozumie się, teatr nie jest życiem, ale w zasadzie nie jest niemożliwem, aby ilościowe i jakościowe spotęgowanie twórczości psychologicznej sztuki nie utożsamiło się z życiem. Otóż Nietzsche w swej jednostronności chce tak zubożyć człowieka, iż sprowadza go tylko do jednego typu i lada aktor bogactwem swego repertoaru przewyższa filozofa. Instynkty są tylko surowym materyałem, z którego człowiek za pomocą inteligencyi i woli może układać najwspanialsze posągi, budowy i tragedye. Nietzsche idealizuje Jowisza, boga silnych instynktów i nieograniczonej władzy, przed którą wszystko winno się ugiąć; nas bardziej zachwyca Prometeusz, bóg woli i inteligencyi, który chwyta piorun i rzuca pod nogi tamtego. Arystokracya Nietzschego jest właściwie arystokracyą rodu, tradycyi, nawet pieniądza. Filozofia tego poety nie wyszła bynajmniej z powijaków klasowych, gniazdem naturalnem jego nad-człowieka są warstwy wyższe i on nieświadomie staje się ich sykofantą. Ideałem Nietzschego jest Bismark, a po części i Wilhelm II, wszystko, co potężne, niezależnie od tego, jakie jest pochodzenie tej potęgi i dokąd ona dąży. Zupełnie inaczej przedstawia się rzecz, jeżeli punktem wyjścia będzie inteligencya i wola. One mogą sobie stawić świadome cele. Tego rodzaju arystokracya ducha ma charakter ogólnoludzki, a nie stanowy. Szeregi jej mogą się napełniać z najniższych sfer społecznych. Zjawia się wszakże pytanie, na czem taki prometeista, mający na celu dobro ogółu, oprze pobudki swych czynów? Nietzsche jest zrozumiały, dając im niewątpliwą podstawę silnych instynktów. Punktem wyjścia może być także świadomość i wolna wola. Niechaj filozofia nam dowodzi — i zupełnie się z nią zgadzamy — iż każdy nasz czyn ma pewien równoznacznik mechaniczny, tem niemniej dla naszej świadomości wolna wola jest faktem pierwotnym i niewątpliwym. Takiem jest stanowisko w filozofii Fouillée'go i Guyau i, zdaniem naszem, zupełnie usprawiedliwione. Weźmy przykład: całe *Dziady* są tylko pewnym układem trzydziestu kilku liter abecadła i gdybyśmy sobie wyobrazili nieskończoną masę wszystkich możliwych kombinacyj, wytworzonych przez pewien ślepy mechanizm z tych liter, to jedną z kombinacyj byłyby właśnie *Dziady*. Ale pomimo to geniusz jest niewątpliwy. Toż samo dzieje się z „wolną wolą." Niechaj dla każdego jej przejawu nauka odnajduje mechaniczny równoznacznik, ale to jej powstrzymywać nie powinno i nie będzie od działania, zależnego tylko od niej samej. „Chcę" może wystarczyć tak samo, jak Nietzschemu wystarczają instynkty, a Benthamowi — interes.

Estetycznie nietzscheanizm jest tylko spotęgowaniem jednostronności — grunt dostateczny dla wydania geniusza, a pomimo to nadzwyczaj wązki. Na przeciwległym biegunie, zaprzeczającym zupełnie instynkt, ale zarazem i czyn, znajduje się dekadencya. Huysmans dał nam wspaniały jej typ w swoim des Esseintesie. Jest to także potwór jednostronności: jakaś nieznaczna zmarszczka o kształtach estetycznych na fali społecznej, a nie całkowity człowiek. Nietzsche z temperamentu może więcej ma pokrewieństwa z des Esseintes lub z Mallarmé, niż ze swoim zwierzęcym nad-człowiekiem. Ten ostatni jest zresztą pajęczyną mózgową, wytworem czysto sztucznym. Ale tak wielką była autosuggestya, iż Nietzsche stanął w zupełnej sprzeczności z dekadencyą i ujrzał się w końcu zmuszonym zaprzeczać Wagnera, aby się zachwycać jakąś „naturalną" muzyczką Bizeta (Carmen była dlań w ostatnich czasach arcydziełem). Jeszcze potężniejszą była suggestya, wywarta na innych. We Francyi uległ jej głównie Barrès. Między jego „Homme libre" i „Jardin de Bérénice" istnieje cała przepaść, oddzielająca nieograniczone uwielbianie refleksyi od takiegoż uwielbiania ślepych instynktów: w odstępie między napisaniem tych książek autor przeczytał niemieckiego filozofa. I nietzscheanizm i dekadencya są niesłychanie jednostronne: będą one stanowić tylko nieznaczne części składowe tej wyższej syntezy, którą podejrzywała kiedyś Grecya w swoim mycie o Prometeuszu i która wyda jednostkę całkowitą. Synteza ta może się odbyć tylko w złotych płomieniach refleksyi i w gromach czynu.

L. W.

Z NIEMIEC.

Berlin, 2 *lutego*.

Dr. Bruno Wille. — Jego utwory poetyckie i uspołecznienie poezyi o powabach przyrody. — Filozofia rozumnego człowieczeństwa i czystych dróg. — Zatarg pomiędzy teoryą Willego a rzeczywistością. — Przejścia. — Na rozdrożu.

Möchte doch lieber Zigeuner sein,
Als Mammonbeschnüffler im güldenen Schrein,
Detlev v. Liliencron.

Bruno Wille należy dzisiaj bezwarundkowo do oryginalniejszych postaci ruchu umysłowego w Niemczech — nie tego, który przywdziewa na siebie strój mandaryński i mniema, że jest wyrocznią, mądrości pełną, kiedy raczy wycedzić jakieś słowo ze swoich ust olimpijskich, ani też tego, który przystosował

Skręciła z głównej drogi i na przełaj przez ogrody chłopskie do sadu biegła.

Drżała na myśl spotkania się z Walkiem, więc chciała stanąć w chałupie, gdy on już spać będzie. Skoczyła przez płot i po cichu pod okno się zakradła. Zadziwiło ją w chałupie tak późne światło.

— Żeby ino spał psia wiara — szepnęła.

Zajrzała przez okno i okrzyk boleści wybiegł jej na usta. Na środku stała czarna, sosnowa trumna, a kilka świec u wezgłowia żółtawym blaskiem obrzucało blade lica zmarłej. Jagna to, po ciężkiej walce krótkiego żywota, spoczęła. Śmierć dotknęła ją snać łagodnie, wygładziła boleścią pokurczone rysy, rozlała pogodę na bladem czole i uśmiechem rezygnacyi okoliła usta.

Maryśce gorące łzy z oczów pociekły. Nie zważała już na nic i do chałupy wpadła. Pomodliła się chwilkę przy zwłokach siostry, potem trwożliwie obejrzała się wokoło.

— Kaj Walenty? — spytała babinę, śpiewającą litanię za dusze zmarłe.

— Siedzi w hareście. Wyjechał nocką do rządowego lasu kraść drzewo i złapali go gajowi, jak sosnę ścinał.

Maryśka odetchnęła uspokojona.

— A matuś co robią, musi śpią?..

— Leży w drugiej izbie, ale cosik źle z nią. Dycha ino a dycha.

Pokiwała głową babina znacząco.

Maryśka już nie słuchała. Pobiegła do matki i przy łóżku uklękła.

— Matuś, matuś, co wam to? Kaj was boli? Com ja się o was nabiedowała, co namartwiła!

Stara podniosła głowę z trudnością.

— To ty Maryś? Dobrze coś przyszła, bo źle ze mną. Nie darmo Jaguś przy skonaniu kiwała na mnie. Kaślisko mnie morduje bez całuśką noc i w piersiach boli okrutnie. Stare kości ciągnie ku ziemi. Niech by tam... Czas mi już odpocząć... Ino mi ciebie a dziecisków żal okrutny. Myślałam se, co Bóg pobłogosławi i ciebie wydam za chłopa, a potem i sama odpocznę. A no, Bóg nie chciał. Sama się zostaniesz na świecie. Maryś, nie desperuj ino tak, szeptała drżącym głosem, gładząc wyschłą ręką głowę zanoszącej się od płaczu dziewczyny. Pan Jezus cię nie opuści. On nad sierotami. Cicho Maryś, cicho. Siądź se kole mnie, pogwarzym trocha i prześpisz się, nim zaświta. Może też Bóg da i ja się dźwignę jeszcze. Ze starym to tak: umiera, umiera a umrzeć mu nie sporo.

Utuliła córkę przy sobie i głosem przerywanym wybuchami kaszlu, mówiła dalej:

— Chcę ci ino powiedzieć, jak se masz poczynać na ten przykład po mojej śmierci ze sobą i wszelakim obrządkiem. Ten niecnota rychło patrzeć jak z hareśtu przyjdzie, to i gospodynię nową do chaty wprowadzi. Ty do służby wracaj. Zabierz se przyodziewek wszystek, mój i twój. Patrzałoby ci się i nieboszczki szmaty wziąć, ano nie rusz nic, bo by cię gotów po sądach ciągać. I skrzynkę malowaną te w kwiaty zabierz, dla ciebie ją nieboszczyk kupił. Chłopców oddasz chrzestnym. Samym Bóg nie dał dzieci, niech się tam nimi opiekują. Przynajmniej macocha znęcać się nad sierotami nie będzie. Ojciec dba o nich tyla, co pies o piątą nogę. Jak cię Pan Bóg chłopem opatrzy, to już se ta wyprawujecie twoją część, co ci po mnie i po ojcu przypada.

Umilkła osłabiona.

Maryśka znużoną głowę oparła na krawędzi łóżka. Sen ją zmorzył.

W dwa dni po pogrzebie Jagny, stara Błażejowa oddała Bogu ducha.

(D. c. n.).

się do pospolitości mieszczańskiej i poznał, że odeń żądają, aby był błaznem nadwornym blagi umysłowej i źródłem flirtowania filozoficzno-duchowego. Twórca sceny ludowej berlińskiej, filozof-moralista niezadowolonego odłamu młodych, poeta, apostoł ideału „rozumnego człowieczeństwa“ i „środków czystych“ na kazalnicy gmin wolnych i kółek etycznych, działacz polityczny i pisarz wydawnictw tendencyjno-dziecinnych, zyskał sobie w niedługim przeciągu czasu imię głośne nawet za granicami Niemiec. Natura to na pierwszy rzut oka dziwnie nieprzystosowana—przynajmniej dla mnie. Widywałem go w najrozmaitszych okolicznościach: na posiedzeniach współpracowników pewnego miesięcznika berlińskiego; podczas obrad burzliwych, jakie towarzyszyły rozpadnięciu się koła sceny ludowej, kiedy można było sądzić, że zamiast dowodów rzesza dwutysięczna użyje środków dotykalniejszych; w knajpach przedmiejskich śród nielicznego grona bliższych znajomych, gdy urządzał dorywczą scenę towarzyską; wreszcie w mieszkaniu własnem gorączkującego się z powodu Tołstoja lub kogoś innego; zawsze wynosiłem to samo wrażenie jakiegoś rozdźwięku pomiędzy nim a całem otoczeniem. Wysokiego wzrostu, budowy potężnej, z twarzą niemal o uśmiechu dziecka, całą swoją istotą zdawał się protestować przeciwko tym ramkom, w jakich przede mną stał oprawiony. Klucz do tego rozdźwięku znalazłem pewnego dnia sierpniowego, kiedy z d-rem Wille i kilku innemi osobami ujrzałem się na wycieczce pieszej w te lasy, piaski i jeziora, które het o wiele mil ciągną się z obu stron Berlina, przedstawiając pustkowie, gdzie można błąkać się całemi godzinami i nie widzieć ani jednej żywej duszy ludzkiej. Tutaj, wśród przyrody wolnej i zdala od sztucznych tworów ręki ludzkiej, rozdźwięk ów ustał. Wille stał się jakby cząstką otaczającej nas natury, a nawet ubranie, które przeciwko niemu na nim zawsze przyjmowało jakąś postawę protestującą, nawet ono zlało się w całość harmonijną. Okazało się, że owa nuta fałszywa, rażąca nie w nim spoczywała, ale w oprawie, w jakiej dotychczas go oglądałem, tak samo jak odraza, uczuwana w menażeryach, nie pochodzi od biednych więźniów, ale od klatek i postronków, za pomocą których uwięziono wolną dziatwę natury. Wille ze swoimi instynktami urodził się stanowczo zapóźno lub — zawcześnie; w każdym razie nie jest on człowiekiem teraźniejszości, rozgorączkowanej i histerycznej, szczęśliwej kiedy czuje pod nogami swemi palący chodnik miejski, z przyjemnością łyka kurz, zwany powietrzem bulwarów i skwerów i gapi się na ciżbę przechodniów, płynącą jak potok obcych sobie atomów. Odrazę ową do miasta Wille uczuwa tak silnie, że nie tylko nie może przebywać w jego murach, ale nawet traci wszelką zdolność do pracy umysłowej po kilkudniowem zamieszkaniu — osiadł zatem w Friedrichshagenie, o pół godziny jazdy od Berlina, skąd wymyka się na apostołowanie etyczne do stolicy. Tęsknota za przyrodą nieskrępowaną, wstręt ku rzędom koszar kilkopiętrowych, gdzie ludzie tłoczą się niby króliki w legowisku, dźwięczy nader silnie, jeżeli nie jedynie, we wszystkich jego utworach poetyckich, nawet tych, gdzie występuje już jako „towarzysz,“ uczuwający, że nie jest osamotnionym światem, lecz jednem z ogniw duszy gromadzkiej. „Byłem dzieckiem — mówi w jednym ze swych utworów — z dużemi oczami dziecięcemi, które jedynie nadawały się do marzycielskiego patrzenia, ale nie do rachunków i nie do zarobku obrotnego. W małych izdebkach chwytała mnie tęsknota, przejmował mnie wstręt do mądrych rozmów osób poważnie rozsądnych, więc wykradałem się w cichej i rzewnej rozkoszy do kwiatów, trawy i słońca!“ Jako odludek żył wśród przyrody z pragnieniem rozpłynięcia się w niej, póki nie nadeszła inna chwila: silnego i zdrowego uczucia solidarności społecznej. Tu umarł Gustaw, urodził się Konrad — zginął odludek, powstał towarzysz — jeżeli ów wyraz polski oddaje dzisiejsze znaczenie niemieckiego *Genosse*. Ale i w tym przyodziewku nie sprzeniewierzył się przyrodzie i otóż teraz na jej łono ciągnie tłumy ludzkie, zbrojny krytyką społeczną swego czasu. Niepodobna spokojnie czytać jego jednego utworu z tej epoki: miasta cierpiącego. Kreśli go Wille na tle rozmyślań Tołstoja, którego jest wielbicielem gorącym. Opowiada, że jednym z warunków szczęścia jest takie życie, w którem stosunki człowieka do przyrody opierają się na podstawie właściwej — przebywania pod gołem niebem, w promieniach słońca i powiewach czystego powietrza, w obcowaniu bezpośredniem z macierzą-ziemią, zwierzętami i światem roślinnym. „Wy, chmurki na niebie, gołąbki białe w błękicie, czy mnie zapraszacie do wycieczki rozkosznej po przez trawy wiosenne, lasy szeleszczące, jeziora lśniące? Nie mogę iść z wami — nie mogę, bo widzę ciemne posępne cienie!“ Oczy poety spoczęły właśnie na wielkiem mieście. I z tej plamy na powierzchni ziemi wynurzają się cienie ponure: „Miasto — woła on — posępne, wstrętne czaty dachów czarnych, w kurzu i brudzie, gniazda kamienne, w których złe się lęgnie, wilgotne mury grobów, mieszkań, tęskne komórki chorobonośne, w których żyją rzesze ludzi wybladłych, wynędzniałych!“ Gdzieś w więzieniu-podwórku, bez słońca i światła, spostrzega dziecię rozmarzone, które samo nie wie, że całe jestestwo jego tęskni za dziedzictwem praojców, za wolną przyrodą — maleństwo wtyka wióry pomiędzy kamienie i raduje się, że to drzewa i kwiecie... Czuje autor, że odkąd stał się „towarzyszem,“ utracił dawne przyjemności, jakich doznawał na łonie przyrody. Tylko wtedy wrócą dawne chwile, gdy drzewa i wody rozsadzą rumowisko miejskie, siostry wybladłe i głodne znajdą się z rumieńcem zdrowia pod promieniami słonecznymi, a dziecko nie będzie potrzebowało oszukiwać uczuć swoich i wierzyć, że wiór to drzewo żyjące. A jeżeli nawet poeta wyrwie z mózgu swego pamięć o rodzeństwie, uwięzionem w nędzy miejskiej i gotów jest, jak za czasów pustelnictwa, rozkoszować się wdziękami przyrody, inny obraz zatruwa mu szczęście małorolny włościanin, z wykrzywionemi nogami i ogłupionym wyrazem twarzy.

Może zbyt długo zatrzymałem się nad d-rem Wille, jako poetą. Atoli było to poniekąd niezbędnem dla zrozumienia go jako myśliciela. Owo uczucie, jakiego doznaje, kiedy marzy o człowieczeństwie, które zniesie śmietniska cuchnące, ochrzczone nazwą miast, i zerwie kajdany bezmyślnej pracy całodziennej, samo zaś zrośnie się z przyrodą, jak czynią zwierzęta, owo uczucie stanowi sprężynę całej filozofii i całej etyki jego. Dawna naiwność chłopięca, kiedy nie mogło mu się pomieścić w głowie, że nie kwiaty wyrokują o wartości łąki, lecz siano, pozostaje rysem charakterystycznym, jego filozofii „rozumnego człowieczeństwa.“ Wille należy do indywidualistów formacyi najnowszej, którzy podjęli nić myśliciela przeszłowiekowych, zbrukaną rękami holoty teoretycznej nowoczesnego mieszczaństwa, złączyli ją z inną, wysnutą przez Stirnera, i utkali z tego wszystkiego nową osnowę — samodzielnego człowieczeństwa, które w głosie swego rozumu znajduje modły postępowania, a w dobrowolnem zrzeszeniu — oręż do walki z przyrodą. Jest to nietzscheanizm, skąpany w uczuciu społecznem, który szuka nie tylko swojego „ja,“ ale też „ja“ wszystkich współbraci i współsióstr w jednej, olbrzymiej ludzkości. Nietzsche w najważniejszym z ostatnich utworów swoich jest prorokiem samolubnej „arystokracyi ducha,“ która, czując wyższość swoją w porównaniu ze zwykłymi okazami trzody mieszczańskiej, marzy o nowej formie panowania: duchów dostojnych nad ciżbą filisterską. Morris, Mackay, Wille i inni śnią tymczasem o zamianie każdego człowieka w „nadczłowieka,“ o okresie, kiedy każdy będzie szukał zasad postępowania nie w jakiejś powadze po za jego umysłem, ale w swoich własnych instynktach, oświetlonych pochodnią wiedzy, łaknących czynu szlachetnego nie dlatego, że tak „trzeba“, lecz ponieważ tak się rozumnemu człowiekowi „podoba.“ Z ideałem rozumnego człowieczeństwa wiąże się poszukiwanie środków i dróg, wiodących do tej przyszłości— teorya „czynu czystego,“ będąca poniekąd odbiciem, choć nader zmienionem, marzeń hr. Tołstoja. Czyste czyny i czyste drogi są to owe postępki, sposoby działania i narzędzia, które najmniej pozostawiają po sobie złego, a najbardziej zbliżają nas do rozumnego człowieczeństwa. Każda strona życia społecznego, każda działalność doznaje odpowiedniego oświetlenia — czy należy do czystych, czy jest ową szkołą wyrabiania nadludzi, którzy wymażą ze słownika pojęcie powinności, a wpiszą do niego niezatartemi głoskami zasadę dobrej a nieprzymuszonej woli. Wszystko, co tłumi popędy wolne, co wzmaga uszanowanie dla słów i czynów cudzych — na podstawie nie zrozumienia się, ale ślepego posłuszeństwa względem powag, wszystko to zaliczone zostało do czynów i dróg nieczystych. Dotychczas stoimy na gruncie teoretycznym. Atoli Wille jest naturą zbyt zdrową, całkowitą, ażeby oddzielał myśl od czynu i snił o cudownych obrazach bez chęci ich wcielenia. Z hasłem środków czystych wstępuje on w szranki życiowe, ażeby wyrabiać kadry rozumnego człowieczeństwa i szerzyć naukę autonomii osobnika. To go wprowadza w starcie z istniejącą rzeczywistością; jak kiedyś nie mógł pojąć, że o wartości łąki rozstrzyga siano — tak samo dzisiaj nie może pojąć niektórych zasad najprostszych działalności społecznej, zasad wcale niesympatycznych, które jednak są koniecznością dziejową, torującą drogi „rozumnemu człowieczeństwu.“ Wszelkie objawy życia społecznego niemieckiego i jego dążności, o ile nie chcą pozostać mrzonką lub zabawką, przybierają dzisiaj postać walki politycznej, zgarniając swoich wyznawców do hufców partyjnych, które usiłują oni zwiększyć liczebnie nawet żywiołami mało uświadomionymi. W ten sposób społeczeństwo rozpada się na szereg walczących z sobą nawzajem armij, bo stronnictwo polityczne jest armią, wymagającą karności i posłuszeństwa. A jeśli partyi politycznej niezmiernie zależy na tem, aby każdy szeregowiec uświadamiał sobie sprawę, za którą walczy, nie mniejszą prawdą jest i to, że lepiej mieć za sobą rzesze ślepo idące, ponieważ ufają kierownikom, aniżeli wcale ich nie posiadać. Niedorzecznością byłoby, w imię przyszłego rozumnego człowieczeństwa, rozpędzać te szeregi, jako owce parszywe, ponieważ powaga jest spoidłem wiążącem je w stopniu bardzo a bardzo znacznym. Pozostaje zgodzić się na tę bądź co bądź niemiłą konieczność dziejową i jedynie starać się o złagodzenie tego stanu rzeczy, szerząc światło śród ciemnych tłumów. I Wille wziął się do tego, stwarzając scenę ludową, która w obecnej chwili ściągnęła w Berlinie do 8 tysięcy uczestników i pozwoliła zapoznać się z utworami Tołstoja, Ibsena, Hauptmana, wydając dla dzieci osobne czasopismo, występując w wolnych gminach i kółkach etycznych, marząc o założeniu galeryi ludowej, ale nie wkraczając na pole zapasów politycznych. Wille zdaje się instynktem swoim zrozumiał, że arena ta zgoła nie odpowiada naturom takim, jak jego, pożądającym już dzisiaj autonomii zupełnej nie tylko swojego „ja,“ ale też „ja“ wszystkich innych. Atoli nie zawsze można

wymazać przeszłości, w przeszłości zaś Willego krył się grzech pewien. Niegdyś, upojony obrazami rozumnego człowieczeństwa, zwrócił się z krytyką przeciwko tej armii partyjnej, w której szedł szeregach. Niezręcznością była nie sama krytyka, ale sposób jej przeprowadzenia — uderzenie na wodzów posiwiałych, że sieją zgorszenie i zepsucie, ciągnąć za sobą masy ślepe, oraz plunięcie tym ostatnim niepotrzebnie nazwą pogardliwą „bydła wyborczego“ i „trzody baraniej.“ Następstwa tego niefortunnego wystąpienia są rzeczą dla nas obojętną, powiemy tylko, że ono zamiast posunięcia naprzód sprawy powstrzymało jej postęp na lat kilka. Wille niebawem wycofał się z walki, której rzucił pierwsze hasło — zbyt raziła go ona naturą swoich pocisków. Atoli inni nie zapomnieli o tem. Waśń wtargnęła do sceny ludowej i sprowadziła wyrzucenie jej założyciela, bo chociaż uznawano jego zasługi, większość jednak członków widziała w nim przeciwnika. Może zatarg nie doszedłby tak daleko, gdyby znowu nie zachowanie się wyznawcy „rozumnego człowieczeństwa.“ Zarzuty przeciwko niemu były błahe i gdyby był w swoim czasie podczas zebrania głos zabrał, wygrałby sprawę. Ideał autonomii jednostki nie pozwolił mu przemawiać wtedy, gdy inni tego chcieli, ale naówczas, kiedy sam zechce. Natura jego nie umie liczyć się z wymaganiami życia. Udało mu się wprawdzie stworzyć drugą scenę ludową, ale pole działalności jego uległo zwężeniu. To samo spotykało go i w innych dziedzinach. Tak np. usunięto go z katedry „akademii ludowej,“ a bieg zdarzeń popycha go coraz gwałtowniej do podjęcia działalności wśród warstw społecznych, od których, jako towarzysz młodociany, odwracał się ze wstrętem. Stąd rozgoryczenie. „Demokracya,“ tj. zasada panowania większości nad mniejszością głębiej myślącą, staje się dla Willego coraz niesympatyczniejszą. Atoli i tutaj przekracza on linię, która odgranicza zdrowe od niezdrowego, ponieważ, ażeby ocalić mniejszość, gotów zupełnie zapomnieć o większości. Jest to droga śliska, prowadząca do uczuć kastowości nietzscheańskiej i pogardy, a nadto obojętności ze strony nad-człowieka względem przedstawicieli zwykłej rzeszy ludzkiej. Mamy nadzieję, że zdrowe pierwiastki w duszy Willego powstrzymają go od stoczenia się w tę otchłań zasklepionej w swojem „ja“ ekstazy osobnikowej. Jeżeli zaś to nastąpi, będzie nawet świadectwem, że życie dzisiejsze sprzyja mało normalnemu rozwojowi takich natur, jak Willego, nie zdolnych do dźwigania oków cywilizacyi klasowej.

K. R. Ż.

TEATR.

Daudet-Belota *Safo* i Greybnera *Fredzio*.

Za bezwzględnie słuszną nie można uznać zasady, że przeróbka powieści na utwór sceniczny jest zawsze płodem lichym. Bo ostatecznie Shakespeare przerabiał opowieści kronikarskie na dramaty, a jednakże tworzył arcydzieła. Chodzi więc tylko o to, kto dokonywa tej pracy. Że Daudet nie jest autorem scenicznym — to pewna; ale dlaczego nie uzupełnił go swą zdolnością Belot? Poprostu dla tego, że czuł się zbyt skrępowany powagą mistrza a zresztą wątek powieści mógł nie odpowiadać naturze jego talentu. Bądź co bądź, wyszła z tej spółkowej roboty rzecz słaba, tylko w szczegółach zdradzająca pazur lwa. Jak wszystkie lub prawie wszystkie „sztuki francuskie“ i ta zajmuje się sprawą płciową. Ladacznica (służąca rzeźbiarzowi za model do Safony) sidła rozlubieżnionego w niej artystę, któremu zatruwa życie swym niezdrowym oddechem, zgnilizną moralną i zdradą. Daudet ukrył w tej bajce morał, który kazał w dedykacyi wydobyć swym synom, kiedy dorosną. Niewiele mądrości w niej znajdą. Prawowite związki rodzinne z czystemi kobietami są lepsze, trwalsze i zdrowsze od luźnych stosunków z kokotami. Oto wszystko. Czyż nie wyznawano przedtem tej prawdy? Powtarzano ją aż do znudzenia. Właściwie więc Daudet oszlifował tylko w odmienny sposób stary komunał. Nie mogło być inaczej. Autorowie francuscy już tak rozgrzebali, rozbabrali, zanalizowali rozmaite kombinacye miłosne, a raczej płciowe, tak wyczerpali wszelkie ich możliwe postacie i rozwiązania, że tylko artysta-filozof i reformator, którym autor *Safony* nie jest, zdołałby z tego materyału zrobić coś nowego, tryskającego mocnem światłem. O ile zdradzeni mężowie i żony, zbrukane i zimne metresy, uczciwi i nieuczciwi kochankowie dadzą się ułożyć w jakąś kwestyę na gruncie tegoczesnego życia — już tego dokonano. Zamiast pomyśleć o zasadniczej zmianie warunków i stosunków życia, reformatorowie teatralni wysilają się tylko na zręczne oprawianie w spróchniałe ramy coraz nowych widoków: ten wsadza w nie psa, ten kota, inny wydrę, inny psa i kota, inny psa i wydrę itd. Wszystkie te „sztuki“ dla rozwoju pojęć nie mają żadnego znaczenia i całą ich wartość stanowi artyzm. Daudet w powieści jest artystą znakomitym, w dramacie i komedyi — nieudolnym, w tym fakcie zamyka się cały rachunek estetyczny jego *Safo*.

Grano przeróbkę w teatrze naszym dobrze i starannie. Tylko p. Marczello, przedstawiająca główną bohaterkę, nie mogła umiarkować swego zbyt gorącego temperamentu.

Aż trzy pokolenia wyprowadził na scenę p. Graybner w swym *Fredziu*, każdemu z nich nadając coraz mniejszą wartość moralną. Dziadek jest arką cnót wszelakich, jego syn wcieleniem idyotyzmu, a wnuk łotrostwa. Ten wnuczek (Fredzio) swoją łobuzerką, matactwami a wreszcie nikczemnością wypełnia przeważnie komedyę. Wiadomo, że nasi autorowie są bardzo litościwymi ojcami swych tworów i przeprowadziwszy je przez najrozmaitsze manowce występku, na ostatniej stronicy lub w ostatnim akcie rozbierają z szat dyabła i stroją w pióra anioła. Tak postąpił i p. Graybner, którego Fredzio jednym susem przeskoczył z niegodziwości do cnoty. Ach, czemuż to rzeczywistość nie zapatruje się na te chwalebne przykłady! Czemuż ona łotrom każe iść konsekwentnie do logicznych wyników życia i usposobień naturalnych! Czemu? Bo nie ma obowiązku fabrykowania ideałów. My, autorowie, musimy to robić, takie nasze „powołanie“!

Artystyczna strona utworu p. Graybnera zdradza niedostatki pióra młodego, ale zarazem znamiona talentu. *Fredzio* pisany jest dosyć gładko i zgrabnie, jakiejś wszakże siły, oryginalności, olśniewającego blasku barw dopatrzeć się w nim trudno.

Grano go koncertowo, jak to nasi aktorzy w komedyi czasem grać umieją. Pp. Rapacki, Leszczyński, Frenkiel, Trapszówna i inni pobudzali ciągle ręce widzów do zasłużonego oklasku. Dzięki im *Fredzio* utrzyma się w teatrze jako urozmaicające repertoar bawidełko, które nie wywiera trwalszego wrażenia, ale też nie nudzi. Znacznej części widzów teatralnych o to głównie chodzi, czemużby więc nie mieli cieszyć się z tego nabytku?

W.

RZEŹBY KONKURSOWE.

Długi połóg góry skończył się szczęśliwem rozwiązaniem. Płód nie rozsadził bynajmniej kamiennego łona matki, jak rozsadzić go nie mogła przysłowiowa mysz. I koszty krytycznego przejścia nie zaciężyły zbytnio na budżecie Towarzystwa zachęty, albowiem znalazło się w wielce pożądanej dla kasy, ale smutnej dla dobrego imienia sztuki — możności zachowania pierwszej nagrody na czasy lepsze. Podobno sprzeciwia się to zwykłym zasadom i praktyce konkursowej, ale w obecnym wypadku trudno mieć jakikolwiek żal do sędziów, ile że na ogół biorąc, rzeźbiarze nie wystawili ani jednego dzieła wybitniejszej wartości. Cała galeryjka, naprędce uciułana, daje w przecięciu rezultat mniej niż skromny, a nawet składające się nań okazy najlepsze, są jeno sumienną robotą z dodatkiem talentu bardzo nieznacznym. Świeżych pomysłów, szczególnej siły ducha, oryginalności nie czuć w nich wcale i z czystem sumieniem można by na nich położyć zwięzłą etykietę: „poprawne.“ Zwłaszcza utwory wyróżnione są sobie pod tym względem równe i, mówiąc szczerze, każdy z nich w tak jednakim stopniu zaletę ową posiada, że wytknięte w porządku odznaczeń różnice należy chyba złożyć na karb konieczności formalnej.

Jeśliby jednak kto chciał wdawać się w rozbiór motywowany i subtelniejszy, to zdaniem mojem, wypadałoby postawić na pierwszem miejscu pracę panny Certowiczówny. Jest to spiżowy bok pomnika, przedstawiający nagiego mężczyznę, śpiącego w postawie pół-siedzącej, pół-leżącej. Bliżej określić jej znacznie trudno, bo żadna myśl z nią złączona nie jest i widzi się jedynie dobry, smaczny, głęboki sen, co oczywiście samo przez się stanowi zadanie niełatwe. Kusiło ono już niejednego mistrza, że wspomnimy tylko genialnego nad wszelki wyraz Fauna Barberyńskiego, którego przypisują na domysł Praksytelesowi. Sądzimy nawet, że można temat ten uważać za akademicki, stały, jak swego czasu „Zuzanna i dwaj starcy“ lub wiele innych w malarstwie. U p. Certowicz prócz prawdy ogólnikowej i modelacyi dosyć powierzchownej, nie znajdujemy żadnych cech, mogących przyciągnąć silniej. Ma ona najwidoczniej rękę wprawną i poczucie harmonii, ale po krociach napłodzonych przez rzeźbę nagości nie ma racyi upatrywać w tem czynnika głębokiego. A gdy już mowa o śnie, wspomnimy nienagrodzoną wcale „Muzę“ p. Niemiry. Dlaczego właściwie nie jest ona, dajmy na to, pogromczynią dzikich bestyj, skoro tak błogo i kokieteryjnie drzemie na grzbiecie potężnego lwa, trudno wytłomaczyć. Mimowoli przychodzi też na myśl: „na lwa srogiego bez obawy siędziesz i na ogromnym smoku jeździć będziesz,“ jak śpiewa za królem Dawidem Jan z Czarnolesia. Ale że artyście nie chodziło o tę, co się oddała w opiekę Panu swemu, zatem symbolika jest naciąganą. Sztuka czy nauka, którą ma ujarzmić geniusz, nie znajduje bynajmniej trafnego uzmysłowienia w afrykańskim drapieżniku, który raz na zawsze otrzymał mandat wyrażania męztwa, waleczności, królewskiej siły i grozy. Motyw więc nie wytrzymuje krytyki i pewien pierwiastek artystyczny tkwi jedynie w samej figurze niewieściej, bardzo wdzięcznej w całości, ale stanowczo ułożonej niewygodnie i całkiem nieodpowiednio do mechaniki snu. A dzieje się to dla efektu, który leży na wierzchu, jak tani towar w wystawowem oknie. Tak wreszcie upozować się można tylko dla dobra ogólnych linij grupy, ale nie dla spoczynku.

Ale wróćmy do laureatów. „Z pomocą brata“ p. Wiśniewskiego (druga nagroda) to

dwa nagie bębny, z których jeden cokolwiek starszy pomaga drugiemu rozkrzyczanemu wstać, stać czy chodzić, bo ruch nie tłomaczy się jasno. Stąd wieje już trochę świeżością; wyrazy dziecięcych twarzyczek są prawdziwe, a zwłaszcza mina mniejszego berbecia. Ciałka, modelowane miękko, mają swą naiwność i pieszczotliwość, które tak często lubią przechodzić w zmanierowane, pucołowate okrąglizny amorków, bachusów i innych tłuściochów. A taką właśnie manierę, starą jak świat, przedstawia, jak gdyby na benefis p. Wiśniewskiego, umocowany na przeciwległej ścianie długi fryz p. Lewandowskiego. Mnóstwo nagusków wykonywa tam różne momenty „pracy,“ coś fabrykują, lepią, wloką girlandy laurowe i w całej tej gromadzie, przeznaczonej zapewne na fronton jakiegoś gmachu publicznego, spotykamy zaledwie tu i owdzie pacholęta prawdziwe, o tyle o ile zbliżone do dzieci, chodzących po naszej ziemi, reszta zaś składa się z figurek konwencyonalnych, które mogłyby się podobać w czasach Donatella, ale nie dzisiaj. Są one jednak pod pewnym względem bardzo pożyteczne: wskazują, jak dalece rzeźbiarstwo jest konserwatywnem i jak niechętnie a powoli otrząsa się z pięknego kłamstwa „renesansu.“

Całkiem już naturalistycznie poczyna sobie p. Wasilkowski, którego „Topielec“ otrzymał list pochwalny całkiem zasłużenie. Rzeźba to dla wielu może nieprzyjemna ze względu na treść, ale to w niczem nie zmniejsza jej wartości artystycznej. Logice układu dałoby się niejedno zarzucić, bo np. co znaczy owo zaciśnięcie pięści dokoła liny ratunkowej, skoro mamy przed sobą nieboszczyka. Byłby bowiem dosyć „śmiałym“ domysł, że już po śmierci chwycił on rzucony sobie sznur; jeśliby zaś to uczynił jeszcze za życia, w takim razie jest on tylko omdlałym. Ale cóż, kiedy rzecz się ma inaczej i każdy, kto widział prawdziwego topielca, wedle logiki autora należałoby powiedzieć „żywego topielca“ (a mam w swej wyobraźni podobnie miłe wspomnienia) odrazu uderzony zostanie przykrymi lecz doskonale odtworzonymi szczegółami tego rodzaju śmierci w rzeźbie, o której mowa. Jednak następcy Fidyasza również lekceważą sobie logikę, jak i malarze (albo nawet... prawnicy, bo jeden z nich pytał raz: nie wiem doprawdy, po co ta logika na prawie?), więc i nam nie wolno robić awantury z powodu śmiesznego owego pośliźgnięcia się dłuta, tem bardziej, że robota jest dokładna, subtelna i robi wrażenie.

(D. n.).

Cezary Jelenta.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

KOBIETA I RODZINA.

Dr. F. Haufe. *Dziecko i rodzina.* Wskazówki kształcenia domowego dla matek.

Rzadko pojawiają się dzieła, będące zwiastunami i odbiciami nowych prądów, stanowiące ewangielię dla całych pokoleń, gwiazdę przewodnią lub dogmat nieomylny. Tylko w chwilach przełomowych, kiedy myśl i uczucie ogółu są podniecone i rozżarzone, kiedy dawne bogi idą na spoczynek, a wynurzają się nowe potrzeby i popędy — wtedy rodzą się pragnienia czegoś innego, nowych ksiąg zakonu, nowych prawd objawionych. Wówczas występują apostołowie przebijających się dążeń, kodyfikatorzy wyłamujących się z mroku teoryj, wówczas ogół poddaje się ich hetmańskiemu przodownictwu. Pierwsza falanga składa się z czcicieli bezwzględnych, entuzyastów zapalonych i sekciarzy dogmatycznych; następnie posiew nowej teoryi przenika szerzej, zawiera układ bezwiedny lub też wyrozumowany ze swymi poprzednikami, ziarna nowej prawdy zaczynają bujnie plonować, wraz z rozrostem jednak ilościowym karłowacieją jakościowo, stają się „chlebem powszednim,“ żywiącym liczną szarą masę, a nie pokarmem odświętnym lub też przeznaczonym dla garstki wybranych. Wreszcie objawia się zwyrodnienie i zanik twórczej potęgi, „nowe prawdy“ stają się pospolitymi groszakami, obiegającymi śród bezkrytycznego ogółu i utrzymującymi swoje znaczenie przewodnie dzięki rutynie. Wir życiowy nigdy jednak nie martwieje i nie unieruchomia się, lecz ciągle burzy się i faluje. Wypływają nowe dążenia, zmiana warunków rzeczowych rodzi odmienny nastrój, odmienne poglądy i zadania. Powoli ujawnia się upadek kierunku dotychczasowego, jego niemoc i bezwład. Umysłowość ogółu odczuwa te zmiany, widzi, iż wzmagająca się wciąż fala podrywa i druzgocze istniejące i uświęcone groble, wkrótce wyrwie się z ciasnego łożyska i na nurtach swych spienionych uniesie panujące drogowskazy. Myśl pospolita niewyraźnie to odczuwa i określa, snuje ona pstry wątek teoryi, składający się z pasm, stanowiących osnowę tkaniny reguł obowiązujących i poglądów utartych, przetykanych wzorzystemi pasmami nowych haseł, nowych idej. Tkanina ta zdradza robotę dorywczą, zlepek rozmaitych celów i zadań. Przyglądając się tym płodom, widzimy, że są to owoce powszedniego, tuzinkowego krytycyzmu, a nie dzieła mistrzów, obrabiających materyał surowy i niespospolitowany, teoryj tych nie oskrzydlił zapał twórczy, lecz wylęgły się one tylko w kolebce zdrowego rozsądku, rdzeniem i podkładem ich nie jest siła, pragnąca ujarzmić świat, lecz zawierają się one w ramkach dążeń powszednich.

Myśli te nasunęło nam dziełko, którego tytuł podaliśmy w nagłówku. Nie może ono rościć najmniejszej pretensyi do stanięcia w jednym rzędzie z *Emilem* Rousseau'a, nie może być też porównywane z takim utworem, jak *Education et hérédité* przedwcześnie zgasłego M. Guyau, lub choćby z *Psychologią dziecka* d-ra Wolberga i *Nauką o rzeczach* J. Wł. Dawida. Przedstawia bowiem tylko wzmiankę ogólników, poglądów, cieszących się prawem obywatelstwa. Jeśli napotykamy zdania trafne i rozumne, możemy być pewni, że są to tylko odgłosy cudzych wniosków, dawno znanych. Ażeby ocenić podstawę dowodów autora, musimy zwrócić się najpierw do przeszłości. *Emil* Rousseau'a był dziełem epokowem, wstrząsnął on potężnie duchem martwoty w sferze wychowania i wykształcenia. Wraz z nim wdarły się potoki światła i powietrza do szczelnie zawartych kryjówek, gdzie hodowano dzieci. Zamiast rutyny mechanicznej na plan pierwszy wysunięty został rozwój duszy dziecięcej. Powiał po całej Europie silny prąd męskości, czystości moralnej, prostoty i ufności we własne siły. Rousseau do wychowania wprowadził rozwielmożnioną wówczas wszechwładnie zasadę „laisser faire laisser passer.“ Wykładał on tę sztukę bez reguł i z ominięciem natarczywych wpływów na duszę dziecka, które było dlań człowieczeństwem w miniaturze. Z naciskiem podkreślał fatalny kontrast między przyrodzonymi popędami dziecka a jego otoczeniem; całą nadzieję pokładał w wolnem, niczem nieskrępowanem rozwijaniu jego uzdolnień. Pogląd taki, przy bliższem rozważeniu, nie odpowiada rzeczywistości; sam bowiem wyraz *wychowanie* zawiera w sobie sztuczność, jako przysposobienie sił naturalnych do warunkowych celów społecznych i osobistych. R. był poplecznikiem, a nawet ojcem teoretycznym wychowania domowego. Z drugiej strony nawiasowo zaznaczył, że „zadaniem wychowania powinno być pochłonięcie człowieka naturalnego przez społeczeństwo.“

Nie możemy tu opowiadać, co się ostało i umocowało z jego poglądów i jak niektóre jego wymagania zostały rozwinięte i usystematyzowane. Pedagogia współczesna powzięła przekonanie, iż celem wychowania powinien być — jak twierdzi Guyau *), „ideał gatunku i ideał człowieka normalnego.“ Życie jest to praca i uleganie pewnym regułom, niezbędnem więc staje się metodyczne urabianie charakteru, woli i uwagi. Naturalny proces poznawania poddać należy świadomemu kierownictwu, regulując ilość, jakość i porządek doświadczeń przedmiotowych i podmiotowych. Uświadomione zostało niebezpieczeństwo przedwczesnej dojrzałości umysłowej i moralnej, zwrócono uwagę na wadliwość tresury, w ostatnich czasach podniesiono kwestyę poddawania myślowego w wychowaniu. Jakież jest stanowisko autora względem tych wszystkich zagadnień o ile dziełko jego jest ich odblaskiem? Biada on, iż niema żadnego wewnętrznego, organicznego związku między domem a szkołą, między wpływem jednej a drugiej. Jest to utyskiwanie powszechne, jednak uzasadnione. „Ogromna większość rodzin — powiada on — postępuje bez planu, dziecko podlega najróżnorodniejszym metodom wychowania, każdy chce z niego zrobić coś, co jemu się podoba.“

Na innem miejscu mówi: „Przykro jest widzieć, jak matka lub ojciec gniotą indywidualność dziecka, wtłaczając je w jakieś utarte konwencyonalne formy.“ Nareszcie nawiasowo dochodzi do przekonania, że rodzina współczesna jest widownią bezładu, rozstrzelenia się, wybryków, które działają rozkładająco na życie rodzinne i w dalszym ciągu na dzieci. Wszystko to świadczy dowodnie o rozbieżności, jaka tkwi pomiędzy celami i zadaniami wychowawczemi, wytkniętemi przez myśl badawczą, a środkami ich urzeczywistnienia, słowem, o przeżyciu się współczesnych instytucyj wychowawczych. Są w książce Haufa zdania i poglądy lubo zgoła nie nowe, warte jednak powtórzenia. O ogródkach dziecinnych wyraża się on, że są to zakłady, słabo łatające dziury stosunków rodzinnych. Bardzo wiele z nich zamienia się wprost na szkołę, z całym jej złym wpływem, szczególniej na istotki młodociane; świeżość i samodzielność dziecięcego myślenia i odczuwania zostaje wkrótce przygnieciona nauką niby poglądową, a właściwie pamięciową, sztuczną; dziecko staje się małym erudytą, posiada dużo sztucznie mu podanych faktów, mało zaś bezpośrednich obserwacyi, zrobionych samodzielnie.

Słusznie nadmienia autor, że służące podeszłego wieku nie posiadają dość energii i żywotności, są niedołężne i dlatego nie nadają się do pielęgnowania i rozwijania dziecka ruchliwego, ciągle zmiennego; nie mogą z powodu braku sił fizycznych zadowolić jego potrzeb, coraz nowych wrażeń itd. Wogóle wszakże autor zbyt przejął się myślą, że pisze dla matek i wiele kwestyj rozwiązał całkiem po gospodarsku, nie licząc się z celami ogólnymi i wszechludzkimi.

B. Ch.

PAMIĘTNIK.

Podatek od mieszkań.

Jak zapewnieniają gazety ruskie, podatek od mieszkań (który niedawno jeszcze miał być według nich całkiem zaniechany) jest już rzeczą

*) l'idéal de l'espèce et de l'homme normal. *Hérédité et education* s. 58.

postanowioną i wkrótce zostanie wprowadzony. Będzie on wynosił od 2 do 5% ceny lokalu rocznie. Prawo obciąży bardziej ludzi żyjących pojedynczo, a zapewni ulgi obarczonym rodzinami, chociaż nie we wszystkich kategoryach. Z ulg tych np. — jak objaśnia *N. Wremia* — będą zupełnie wyłączeni płacący za mieszkanie od 30—35 rs. miesięcznie. Wspomniany dziennik uważa ten wyjątek za „niedopatrzenie,“ które wymaga poprawki. Właściwie jednak trudno rozbierać szczegółowo punkty ustawy, której tekst urzędowny nie został jeszcze ogłoszony. Dotychczas tyle tylko wiadomo, że podatek od mieszkań będzie wprowadzony i to wkrótce. Nie potrzebujemy chyba zbyt szeroko dowodzić, że z tą zmianą winni się policzyć wszyscy, którzy wogóle liczą się ze swymi wydatkami, zanim nadejdzie główna, świętojańska pora wynajmu mieszkań. Nie chodzi tu o kilka lub kilkanaście rubli, wniesionych jednorazowo, ale o opłatę stałą, która w budżetach gospodarczo-domowych stanowić będzie nieprzerwaną różnicę. Nie przypuszczamy, ażeby w społeczeństwie tak nieoszczędnem jak nasze, ten przyrost rozchodu wpłynął na zmniejszenie zajmowanych mieszkań, wogóle u nas stosunkowo zbyt obszernych; ponieważ jednak podatek rozłożony będzie w rozmaitej wysokości na różne kategorye lokalów, sądzimy przeto, że najbardziej uprzywilejowane będą miały największy popyt. Właściciele domów, przewidując ten wypadek, zaczynają rozmyślać i podobno naradzać się nad układem przyszłego stosunku z lokotorami. Być może, iż niektórzy z nich do ceny komornego zechcą włączać podatek i sami go wnosić; ale skoro jego wysokość zależeć będzie od ilości i związku rodzinnego osób zajmujących mieszkanie, przeważnie zatem musi on być uiszczany przez samych lokatorów, na podobieństwo zarobkowego. Zresztą czekajmy ustawy.

Chroniczne braki.

Że nasze koleje żelazne postępują w ostatnim szeregu tego rodzaju urządzeń w stosunku do zagranicy, o tem powszechnie wiadomo i wielokrotnie pisaliśmy w *Prawdzie*. Niepodobna wszakże przynajmniej w pewnych względach pogodzić się filozoficznie z ich rutyną. Pomijając wymagania dalej idące, dwa szczególnie niedostatki wołają o usunięcie ich. Mamy na myśli stały brak środków przewozowych zarówno w ruchu towarowym, jak osobowym. Ile razy tylko, czy to skutkiem zwiększonych obrotów handlu, czy skutkiem powiększonej produkcyi, zajdzie konieczność użycia większej ilości wagonów, natychmiast okazuje się ich brak. Nie potrzeba nawet takich niespodzianek, dość gdy do Grodziska lub Jabłonny wybierze się towarzystwo z kilkunastu osób, stanowiących nadmiar zwykłej liczby pasażerów jednego pociągu, ażeby dla nich przy powrocie zbrakło miejsca w wagonach. Wbrew rozporządzeniu ministeryum, które wyraźnie poleciło, ażeby nie wypełniać całkowicie wagonów i pozostawiać pasażerom pewną wygodę, codziennie muszą oni, zwłaszcza wsiadając na stacyach bliższych Warszawy, stać w korytarzach a nawet na platformach, zduszeni i narażeni na niebezpieczeństwo. Piszący te słowa był skazany w niedzielę wieczorem na taką podróż z Grodziska do Warszawy łącznie z 7 osobami, którym sprzedano bilety a nie dano miejsca i kazano „uczepić się, gdzie można.“ Nie był to już wcale wypadek wyjątkowy, lecz codzienny. I jak się dziwić, że żydki, furmaniący na szosach, biegnących wzdłuż dróg żelaznych, mają ciągle zatłoczone bryki, kiedy przewożą i taniej, i pewniej, a czasem prędzej? Doprawdy akcyonaryusze, ustępujący im we współzawodnictwie, muszą mieć dziwny wstręt do wyższej dywidendy. Inaczej trudno sobie wytłomaczyć, dlaczego kolej, gdy niespodziewanie ma przewieźć 300 cetnarów towaru lub 50 osób po nad normę, oświadcza, że „nie jest na tak wielki ruch przygotowana.“ *M.*

Stare kuglarstwa.

P. Hajota streściła w *Kuryerze warszawskim* sprawozdanie Schiaparellego, który łącznie z Richetem, Lombroso i innymi obserwował pewne medium włoskie, popisujące się z cudami spirytyzmu. Jak zwykle, owa panienka podnosiła stoły bez dotykania ich, wyzwalała się z więzów itd., co naturalnie robić mogła tylko przy pomocy duchów. Zaledwie czytelnicy spożyli obfitą porcyę tego odurzającego wywaru kuglarstwa, przyjechała do Warszawy i wystąpiła publicznie miss Abbot, która znowu posiada w sobie „tajemniczy fluid,“ dający jej rękom tak nadzwyczajną siłę, że proste ich dotknięcie uniemożliwia kilku mężczyznom poruszenie krzesła a nawet laseczki. Z tych dwu źródeł musiał wypłynąć prąd, popychający umysły ku spirytyzmowi. Jesteśmy też pewni, że obecnie, o ile karnawał nie przeszkadza, Warszawa uprawia obcowanie z duchami za pomocą ekierek, stolików wirujących i rozmaitych medyów, a w poście, gdy wieczory nie będą zajęte tańcami, rzuci się do tych doświadczeń namiętnie. Nie będziemy powtarzali naszych objaśnień i wywodów, które wypowiedzieliśmy wielokrotnie przeciwko tym kuglarstwom lub samookłamywaniu siebie, zrobimy tylko dwie uwagi, dotyczące dwu ostatnich objawów. Ponieważ medium właśnie było kontrolowane przez Schiaparellego, Richeta, Lombrosa itd., którzy przyznali się do niemożności wytłomaczenia widzianych cudów drogą naturalną, więc najzupełniej logicznym wydaje się wniosek, że z owych popisów oszustwo było zupełnie wyłączone. Otóż właśnie wniosek taki jest nielogiczny. Na jakiej zasadzie bowiem przyznajemy uczonym szczególną zdolność przenikania kuglarzów? Przeciwnie są oni do tego najnieodpowiedniejsi. Pierwszy lepszy sprytny świadek doświadczeń spirytystycznych daleko prędzej odkryłby tajemnicę. Najlepszym dowodem jest fakt, że wszystkie zdemaskowania medyów dokonane zostały nie przez uczonych, zwykle łatwo dających wyprowadzić się w pole. Co do miss Abbot, to błędne jest twierdzenie kilku naszych pism, że objechała ona Europę nieprzeniknioną w swej sztuce używania „fluidu.“ W Wiedniu bowiem, Peszcie i innych miastach zagranicznych zdemaskowano ją tak nielitościwie, że musiała przerywać przedstawienia i wyjechać tam, gdzie mniej jest ludzi tak niegrzecznych, czy też łatwowiernych. *W.*

Pasaże.

Fabryka t. z. „wiadomości bieżących,“ często pozbawiona zupełnie materyału do wyrabiania nowin, puszcza w obieg pogłoskę, że to lub owo grono kapitalistów zagranicznych zamierza wznieść w Warszawie okazały „pasaż.“ Pod tem mianem rozumieć należy, jak wiadomo, ogromne budowle z przejściem wewnętrznem, w którem mieszczą się najwystawniejsze sklepy. Pomijając okoliczność, że ów pasaż warszawski nadzwyczajnie przypomina węża morskiego, którego wielu widzi a nikt złapać nie może, trudno pojąć, dlaczego on nas tak cieszy. Gdyby miastu przybył w nim wspaniały pomnik architektury, moglibyśmy przynajmniej tą korzyścią zrównoważyć sobie stratę na rzecz cudzoziemskich spekulantów. Ale wątpimy, ażeby oni zechcieli obdarzyć nas czemś podobnem w rodzaju np. pasażu medyolańskiego. Im chodziłoby z pewnością o jakąś zwyczajną górę cegieł, przebitą korytarzami dla drogo opłacanych sklepów. Czy zaś sklepy te znajdują się rozrzucone po rozmaitych ulicach, czy skupione razem w jednej budowli, to dla nas wszystko jedno. Nie ma więc powodu do klaskania w dłonie na widok kapitalistów zagranicznych, obiecujących nam stworzyć wygodne miejsce do spaceru, gapiówki i zaczepiania kobiet. Jest tego dobrego już dosyć.

Kwiaty przy umarłych.

Najbujniejsza wyobraźnia nie zdołałaby przewidzieć, co na świecie przeszkadza *Przeglądowi katolickiemu*, przeszkadza mu bowiem wszystko po za jego plebanią. Obecnie wystąpił on przeciwko... ktoby odgadł!.. przeciwko przystrajaniu trumien kwiatami. Zwyczaj ten według niego sprzeciwia się „tradycyi kościoła.“ Dlaczego? Ciekawa rzecz, czemu ten zwyczaj pogański zachowywany bywa również przy pogrzebach księży i najwyższych dostojników kościelnych? Czyżby oni wszyscy nie znali owej „tradycyi,“ nad którą straż trzyma *Przegląd katolicki*? Nam się zdaje, że on wziął w monopol nie religię, ale śmieszność.

Rachunki.

Przysłowiowy wstręt rolników do atramentu, pióra i cyfr, niejedną im już krzywdę wyrządził. Brak umiejętności cyfrowego godzenia wydatków z dochodami, tworzy tę znamienną nierówność w budżecie ziemianina, sprowadzającą bankructwo lub powolne konanie. Przedstawiciele własności ziemskiej płyną na swoich nawach podziurawionych przeważnie bez kompasów tym sposobem nie mogą obliczyć ani kierunku, ani odległości gruntu stałego i najczęściej pod wpływem nieprzyjaznych podmuchów ekonomicznych — giną. Zamożniejsi posługują się przynajmniej oficyalistami, biegłymi w rachunkach, ale na to pozwolić sobie może tylko nieliczna garstka. Większość bądź lekceważy zupełnie cyfry, bądź morduje się nad dowolnie układanemi ich kolumnami i rubrykami, w których najwytrawniejszy nawet rachmistrz nie mógłby dojść do ładu i zrozumieć istotnego stanu rzeczy. Wobec tego wielką zasługą jest *Rolnika i hodowcy* krzątanie się od kilku lat około ustalenia najprostszych i najpraktyczniejszych szematów, tudzież wskazówek rachunkowości rolniczej. Obecnie zaprosił on do obrad w tej sprawie ziemian, których majątki słyną z wzorowego ładu i jasności w rachunkach, mianowicie pp. Władysława Habdank Korzybskiego, Jerzego Ryxa, Wilhelma Meylerta i Konstantego Sękowskiego, autora rachunkowości podwójnej w zastosowaniu do rolnictwa. Po rozprawach na kilku posiedzeniach zwolennicy ładu cyfrowego przyszli do przekonania, że buchhalterya podwójna dla przeciętnego rolnika jest nieprzystępna, jako zbyt złożona; większość ziemian przeraża się samej nazwy tego przedmiotu. Ostatecznie więc przyjęto przedstawione wzory rachunkowości pojedynczej w zastosowaniu do rolnictwa i przemysłu, ułożone przez małżonków Meylertów. Podobno jest to system bardzo prosty. Z wypełnionych szematów można ułożyć bilans roczny, zbliżony do zasad buchhalteryi podwójnej. Podręcznik ten, niezbędny dla ogółu wytwórców rolnych, poprawiony i uzupełniony, wyjdzie z pod prasy nakładem redakcyi *Rolnika i hodowcy*. Oby trud nie był zmarnowany!.. *Zn.*

Obawy.

W niektórych miejscach, gdzie powódź wyrządziła straty w samych tylko wałach ochronnych na 50,000 rs., nie zabezpieczono brzegów, pomimo natężonej pracy, stanęły bowiem na przeszkodzie nagle śniegi i silne mrozy. W razie więc wylewu, wioski niezabezpieczone zatoną niewątpliwie. Najsmutniejsze jest to, iż nie można przewidzieć, gdzie się utworzy zator, a więc nawet niziny, zabezpieczone wałami, nie mają najmniejszej rękojmi bezpieczeństwa. Wobec tego władza gubernialna warszawska organizuje możliwe środki przeciwdziałania. Na brzegi baczność już zwrócono

i w razie zbliżającego się niebezpieczeństwa mieszkańcy natychmiast będą ostrzeżeni. W tym celu na całem pobrzeżu w granicach gub. warszawskiej utworzono znaki stosowne z kul plecionych i latarń w punktach widocznych na wysokich masztach. Jest to rodzaj telegrafu optycznego, który da możność zarówno w dzień, jak i w nocy szybko ostrzegać wzdłuż rzeki nietylko o możliwości powodzi, ale i o jej sile. Dla dolnej części Wisły między Warszawą a granicą pruską uwzględnione będą telegramy z Zawichostu, z pobrzeża Narwi i Bugu, tudzież wiadomości o stanie wody na Wiśle pod Warszawą. Będzie więc to sposób zażegnania fałszywych alarmów, jednocześnie zaś — środek, umożliwiający mieszkańcom nadrzecznym usuwanie swego dobytku w miejsca bezpieczne. *Dr.*

Protekcyonizm na rynku pracy.

Uzdolnieni fachowcy krajowi, którym na przeszkodzie w otrzymaniu zajęcia staje tylko ten przesąd pracodawców, że nie mają dyplomów zagranicznych, znajdą poparcie w nowem obostrzeniu. Wkrótce, jeżeli mamy wierzyć doniesieniu *Rusk. Żizni*, do techników obcokrajowych będzie zastosowany ten sam przepis, co do lekarzy, tj. że będą musieli zdawać egzamin w ruskich zakładach naukowych, jeżeli wyrażą chęć zużytkowywania swej wiedzy w państwie ruskiem. Środek ten miałby takie znaczenie, jak protekcyonizm, zastosowany do przemysłu krajowego. Cudzoziemiec, chcący dopomagać swoją pracą do rozwoju produkcyi, musi podlegać egzaminom niezbyt łatwym, jak towar — opłacie celnej. Ponieważ na to potrzeba dużo czasu i trudu dla przyswojenia sobie obowiązującego języka, oczywiście skorzystają na tem mieszkańcy tutejsi, chociażby zdobywający wiedzę za granicą. *—ir.*

SPRAWY EKONOMICZNE

NOWE WIDMO.

Klęska głodowa jeszcze się nie zatarła w pamięci ogółu, gdy na widnokręgu gospodarki wiejskiej ukazało się nowe widmo, niedające spokojnie zasypiać hodowcom. Jedna z najstraszniejszych epizootyi, dżuma, wyniszczająca bydło rogate, dotąd szerzyła się dość powolnie i słabo tylko na południowo-wschodnich krańcach państwa. Niedawno zaś rozbiegły się alarmujące wieści, że zaraza ta szybko objęła znaczne obszary, w rozmiarach niezwykłych. W gubernii jekaterynosławskiej zjawiła się w powiatach: słowianoserbskim, maryupolskim, bachmuckim i jekaterynosławskim; w gub. kurskiej ucierpiał już pow. obojański, w charkowskiej — zmijewski, iziumski, kupiański, wołczański, charkowski, lebiedziński i starobielski; w woroneżkiej — wałujski; w połtawskiej — zieńkowski, hadiacki i połtawski; w astrachańskiej — czarnojarski, jenotajewski i małoderbetowski ułusin, w obrębie dońskim: powiaty: tahanrozki, rostowski, doniecki, czerkaski, salski, I i II okrąg doński; w obrębie terskim: okręgi piatyhorski, kizlarski, groznieński, sunżeński i władykaukazki. Nadto zaraza rozszerzyła się w obrębie kubańskim tudzież gubernii stauropolskiej.

Dość wziąć mapę i przejrzeć te olbrzymie przestrzenie Rosyi europejskiej, dotknięte złośliwą epizootyą, ażeby się przekonać, że ona idzie na zachód i niehamowana mogłaby całe państwo ogarnąć. Według wyjaśnień urzędowych, do wzrostu klęski przyczynił się szereg następujących warunków: zbyt późne odkrycie zarazy, brak sumiennego czuwania nad porządkiem przy transporcie bydła, szczególnie w miejscowościach zarażonych tudzież sąsiadujących z niemi okolicach. Przepisy wkładają na lekarzy weterynaryi obowiązek rozpoznawania rodzaju chorób, tudzież udzielanie odpowiednich wskazówek, stosownie do danej miejscowości i jej warunków, wreszcie — czuwanie nad wypełnieniem tych wymagań. Największy zaś nacisk na wykonanie środków zaradczych i ratunkowych powinna kłaść władza policyjna. Wykrycie tudzież stłumienie zarazy najłatwiejsze jest w zimie, gdy bydło trzymane jest pod strzechą, a przepędzanie jego lub przewożenie prawie zupełnie ustaje. Otóż p. minister spraw wewnętrznych zalecił pod surową odpowiedzialnością jaknajściślejsze wypełnianie obowiązujących przepisów. Szczególnie powinna być zwrócona uwaga na przepędy, oraz notowany każdy najmniejszy objaw choroby. Weterynarze wraz z władzami administracyjnemi powinni w porze obecnej najdokładniej zbadać stan bydła wszędzie, gdzie tylko istnieje podejrzenie zarazy.

Do Królestwa ta straszna choroba nie dotarła i bardzo być może, iż pod wpływem energicznego przeciwdziałania hodowcy tutejsi unikną tym razem klęski, mogącej sprowadzić liczne bankructwa. Nie idzie zatem, ażebyśmy mieli spokojnie zasypiać. Korespondencye z różnych stron kraju donoszą o zjawieniu się księgosuszu i innych chorobach, wyniszczających lub przynajmniej osłabiających obory. Na południu zaś i wschodzie cesarstwa, jakeśmy wyżej widzieli, szerzy się dżuma, która, nawet umiejscowiona, może dotkliwie podziałać na interesy spożywców. Zwróćmy uwagę na to, że choroba grasuje w miejscowościach stepowych, głównie zaopatrujących Królestwo tudzież liczne gubernie Cesarstwa, w mięso. Pomór, przytem obostrzone środki przeciwdziałania, z konieczności skrępują w znacznym stopniu tę ważną gałąź handlu; ztąd nieuniknione zjawisko: ogromne podrożenie pierwszorzędnego produktu spożywczego, a za nim — również pierwszorzędnych — artykułów nabiałowych. Czy oprócz stosowania środków formalnych nie można na przyszłość wynaleźć sposobów zaradzenia złemu? Zdaniem naszem, najsilniejszą bronią przeciwko wszelkim epizootyom i innym chorobom byłaby racyonalna hodowla, prowadzona z zupełną znajomością rzeczy. Dotąd można byłoby na palcach wyliczyć tych przedsiębiorców, którzy uprawiają na szerszą skalę tak ważną gałąź gospodarki. Większość boi się ryzyka; pierwsza lepsza zaraza może cały majątek w ciągu dni kilku zniszczyć. To też w obawie strat i ruiny właściciele ziemscy o tyle się zajmują hodowlą, o ile to jest niezbędne, jako środek pomocniczy w gospodarstwie, stanowi zatem jego odłam podrzędny. Ziemianin jęczy i wzdycha, nakłada jarzmo na grzbiety dwom lub trzem parom wołów wychudzonych, otrzymuje niewielką ilość nabiału na użytek własnej rodziny i czeladzi, z paru krów niepokaźnej rasy; jedną tylko wełnę strzyże wprawniej i to jednak w mniejszych rozmiarach, niżeli spekulant albo lichwiarz strzyże puch jego własnych dochodów. Tymczasem ziemia się wycieńcza z braku nawozu, chude mięso dostarcza Icek i to z owych resztek, których nie zdołał sprzedać na rynku miejskim. Bydło u nas bardzo tanie, a jednocześnie wszelkie jego produkty są nadzwyczaj drogie. Wychudzone idzie za bezcen na sprzedaż, albo zamiast gotówki—na raty i procenty. Spekulanci kręcą się na różne strony, robią obroty, przesuwają przez setki rąk nabiał, mięso, skóry. Zanim to wszystko się dostanie od hodowcy do rąk spożywcy, cała armia procederzystów różnorodnych napełni sobie kieszenie. A jednak hodowla bydła w najszerszych rozmiarach gdzieindziej przedstawia poważną gałąź przemysłu. Niewielka Szwajcarya wywozi co rok produktów zwierzęcych za 80 milionów franków, dzięki tylko racyonalnej hodowli bydła. Ale za to liczna armia weterynarzy oddaje tam ogromne usługi. W r. 1890 cały kraj liczył ich 540, każdego zaś działalność rozpościerała się w granicach 76 kilometrów kwadratowych, a opieka nad 2,247 sztukami. Owi fachowcy, pomimo na pozór wielkiej liczby w stosunku do przestrzeni, cieszą się wygodnym bytem materyalnym.

Nie wiem, czy Królestwo Polskie posiada piątą część powyższej liczby weterynarzy. To tylko pewna, że nie mają oni ani powodzenia, ani wygodnego bytu, ani też takiego znaczenia, jak w Szwajcaryi. Są to skromni urzędnicy, nie zwracający prawie niczyjej uwagi, z wyjątkiem owych nielicznych, którzy strzegą punktów przepędu bydła. Tacy cieszą się wielkiem poważaniem ze strony... spekulantów-handlarzy. Gdyby jednak racyonalna hodowla bydła stanęła u nas na tym poziomie, co w Szwajcaryi, mogłoby co najmniej 1,600 weterynarzy znaleźć wygodne utrzymanie w samem tylko Królestwie Polskiem i co ważniejsza — praca ich byłaby produkcyjna. Dotąd wszakże obok tych patentowanych specyalistów szerzą swoją działalność i o wiele silniejszy wpływ — znachorzy, którzy tak samo, jak u ludzi, zamawiają wszelkie choroby u zwierząt. Może atoli działalność ich wkrótce da się ograniczyć, dzięki temu, iż główny zarząd stadnin państwowych postanowił rozpowszechnić śród włościan naukę weterynaryi. W tym celu wolno chłopcom wstępować do rządowych zakładów stadnin na naukę kowalstwa, dozoru nad końmi i — początków weterynaryi. Każdy taki zakład może przyjmować naraz pięciu kandydatów od 15 do 18 lat wieku, zdrowych fizycznie i moralnie. Zasadniczy program nauki: pierwsze początki leczenia zwierząt w takich granicach, jakie są konieczne dla felczera-konowała, wykładanie ogierów, podbiórka kopyt, prawidłowe kucie koni, dozór nad nimi (czyszczenie, uprzątanie stajni, wyprowadzanie, przejażdżki pod wierzchem i w zaprzęgu). Czas trwania nauki pięcioletni. Korzystać z niej można bezpłatnie. Utrzymanie atoli i odzież powinni dawać ci, od których chłopcy są przysłani. Wykłady obejmą patentowani weterynarze, czuwanie zaś nad moralnością uczniów i usuwanie niepoprawnych jest obowiązkiem zarządzających stadami.

Tym sposobem w przyszłości każda gmina i wieś otrzyma swego weterynarza, który będzie czuwał nad hygieną bydła włościańskiego. Chłop ma wielkie zaufanie do każdego fachowca ze swego łona. Jeżeli więc chłopak po skończeniu elementarnej nauki weterynaryi wróci do własnej wsi, potrafi łatwiej zaskarbić zaufanie gromady i zwalczyć znachorów, niżeli obcy weterynarz tużurkowy. I w takich wszakże warunkach działalność odrazu gładko nie pójdzie. Fachowiec musi z urzędu zaglądać do każdej obory, w razie niespełniania jego wskazówek pociągać winnych do odpowiedzialności. A czy takie wścibianie nosa młodego parobka do gospodarki starych, zrutynizowanych chłopów, będzie spokojnie przez nich przyjęte? Wygładzenie zatem stosunków nie może odrazu nastąpić. Włościanin, który zdolny jest powiesić się lub rozpić po utracie krowy, dopiero wtedy oceni prawdziwie działalność weterynarzy „uczonych“, gdy się przekona w praktyce o ich zbawiennych radach i przewadze nad znachorami. Hygiena atoli bydła włościańskiego, w ten sposób podtrzymywana, jakkolwiek uchroni od ruiny wielu gospodarzy w siermiędze, nie podniesie jednak racyonalnej hodowli, nie popchnie jej na takie tory, po jakich toczy się ona np. w Szwajcaryi. Do tego potrzebne jest szersze rozpowszechnienie wiedzy facho-

wej i jakaś stała organizacya jej przedstawicieli. Przed kilku miesiącami w Warszawie na zjeździe weterynarzy z powodu jubileuszu ich nestora, p. Teofila Berezy, poruszono myśl założenia Towarzystwa weterynaryjnego „dla rozwoju nauki i popierania jej wyznawców.“ Jeżeli projekt ten nie zgasł wraz z przejściem gorączki, wywołanej przez uciztę jubileuszową, to można inicyatorom wyrazić tylko szczere uznanie. Dotychczas tak ważna gałąź wiedzy nie ma u nas żadnego ogniska, któreby służyło do badania dokładnego ogólnych warunków hodowli i zdrowotności inwentarza w kraju, gdzieby łatwo i szybko można było rozstrzygać sprawy sporne, na mocy nagromadzonych szczegółów zalecać środki rozwoju, wreszcie wydawać specyalne książki i pismo, dostarczające praktycznych wskazówek nietylko co do hodowli ale także rynku zbytu. Tak tylko rozumiemy działalność zaprojektowanego Towarzystwa, którego zawiązaniu się władze wyższe niewątpliwie żadnych przeszkód by nie stawiały, tem bardziej, że same uznają potrzebę szerokich ulepszeń w tej mierze. Gdyby na takich podstawach zrodziła się i rozwinęła instytucya, czuwająca nad zdrowotnością inwentarza i wzmocnieniem racyonalnej jego hodowli, zniknęłoby wtedy widmo bankructwa wobec szerzącej się zarazy. Wzmożenie bowiem samej gałęzi przemysłu tudzież zastosowanie możliwie najenergiczniejszych środków ratunkowych, znacznie osłabiłoby wpływy i rozmiary chorób. Do tego wszakże wzmocnienia, nawet przy rozwoju nauki i środków technicznych, nie można dojść w pojedynczem działaniu. Tylko hodowla na podstawach zrzeszonego przedsiębiorstwa dałaby pokaźne rezultaty, zarówno korzystne dla przedstawicieli gospodarstwa, jak i spożywców.

Zn. P.

PRZEMYSŁ, HANDEL I FINANSE.

Ruch przemysłowy. Ożywienie wzmaga się niemal z każdym tygodniem, szczególnie w działach wytwórczości żelaznej i bawełnianej. Jednocześnie skutkiem wzrostu zapotrzebowania ciągle się podnoszą ceny. Z dniem 31 stycznia przemysłowcy łódzcy podnieśli w składach swoich ceny towarów białych, mianowicie wszelkich gatunków szyrtyngów, kreasu, metkalów surowych i bukskinów o $^1/_4$ kop. na arszynie. — W Petersburgu odbyły się przed kilku dniami narady wyłącznie ruskich fabrykantów przędzy bawełnianej. Postanowiono tam wedle zasady kucia żelaza, póki gorące, podwyższyć jeszcze ceny przędzy ruskiej o rs. 1 kop. 50 na pudzie na terminy: wrzesień, październik i listopad r. b. Zwyżka ta niewątpliwie wpłynie również na wzrost cen wyrobów bawełnianych na rynku łódzkim. Koszt bowiem fabrykacyi musi być normowany według wartości materyałów surowych, ceny zaś tych ostatnich na rynkach tutejszych zawsze zależą od rynków Cesarstwa. Stała zima, wczesne święta wielkanocne i wiele innych przyjaznych warunków oddziaływa na obfitą sprzedaż towarów łódzkich do gubernij wschodnich. Ze wszystkich prowincyj Cesarstwa, odznaczających się wielką akuratnością wypłat w tym roku, jedna tylko Besarabia, głównie zaś Kiszyniew, bardzo powoli załatwia rachunki z Łodzią, przytem nastąpił szereg bankructw wielkich i mniejszych firm besarabskich; z tego powodu, pomimo ogromnego zapotrzebowania na towary łódzkie, fabrykanci nie są bardzo skorzy do kredytu i zbywają swoje towary głównie za gotówkę. Odesa poczyniła w tym sezonie znaczne zamówienia u przemysłowców łódzkich; jedynych wyrobów wełnianych na 200,000 rs, Kaukaz jest tylko ospały w zapotrzebowaniach, prawdopodobnie skutkiem zeszłorocznej epidemii, która tam wyrządziła oprócz ofiar w ludziach, znaczne straty ekonomiczne. W przemyśle żelaznym i kopalnianym panuje również wielkie ożywienie. Towarzystwo francuskie metalurgiczne w Chlewiskach otrzymało upoważnienie rządowe do działania wewnątrz państwa. Nabyło ono od hr. Feliksa Narzymskiego Chlewiska i Pawłów w pow. końskim gub. radomskiej i wkrótce rozwinie swą czynność. Świadectwem wzrostu przemysłu w pasie zachodnim jest ruch na kolei Warszawsko-Wiedeńskiej. W ostatnim sezonie uruchomiła ona szesnaście nowych pociągów towarowych, wyłącznie dla obsługi własnych linij, przeważnie między Sosnowicami i Piotrkowem. Przewożą one węgiel do nowopowstałych zakładów fabrycznych.

Handel zbożowy. W Petersburgu otwarto drugą sesyę zjazdu kupców i komisyi do uporządkowania handlu zbożowego pod przewodnictwem dyrektora departamentu rękodzieł, Kowalewskiego. W sprawie czasowej ustawy o dozorze nad wywozem zdania się podzieliły. Jedni żądali obowiązkowej inspekcyi, inni stanowczo uznali środek ten za szkodliwy. Przedstawiciele ministeryum dóbr państwa oświadczyli, że jeśli istnieje niedoczyszczenie, to w każdym razie nieznaczne i że o wiele właściwszem jest starać się o udoskonalenia produkcyi zbożowej. Głównie dążyć trzeba do wzmocnienia zachwianego dzisiaj kredytu na rynkach zagranicznych. Należy przedewszystkiem pilnować, ażeby eksporterzy dostarczali zboża w takich gatunkach, jakie wykazują próby. Komitet giełdowy warszawski również się zajął żywo tą sprawą i wyraził ze swej strony życzenie, aby stopień wymaganej czystości zboża wywożonego był oznaczony i zarazem aby wolno było wywozić ziarno niższej czystości z procentowem potrąceniem na cenie. Jako najgłówniejszą przyczynę podawano to, iż w kraju naszym majątki ziemskie są rozdrobnione, a pojedyncze partye zboża — małe. Dla skromnych gospodarstw jest nad siły ciężar maszyn, dokładnie doczyszczających; pomimo to produkcya bywa dobra, nie należy zatem bezpośredniego wywozu tamować. Nadto w pasie pogranicznym utrwalił się zwyczaj produkowania przez włościan mieszanego ziarna, pszenicy z żytem, jęczmienia z owsem; produkty te znajdują łatwy zbyt na paszę za granicą. Podobno tym uwagom giełdy warszawskiej przyznano słuszność w Petersburgu. Jednocześnie z tą sprawą grupy interesowanych rozwinęły starania, aby system wydawania zaliczek na zboże wprowadziły koleje żelazne: Warszawsko-Wiedeńska, Terespolska i Iwangrodzko-Dąbrowska.

Magazyny zbożowe. W sali posiedzeń warszawskiego komitetu giełdowego odbyły się narady w sprawie przekształcenia magazynów transportowych przy stacyi Praga. Jednozgodnie uznano potrzebę ich powiększenia, bez czego handel wywozowy przez granicę zachodnią nie mógłby znaleźć w Warszawie punktu oparcia. Potrzeba, ażeby one mieściły przynajmniej 6—7 tysięcy wagonów. Korzyści elewatora uznali również wszyscy zgromadzeni, chociaż wyrażono obawy, że nie nawykli do tego wytwórcy Królestwa, nie będą chcieli się zgodzić przynajmniej z początku na mieszanie swego zboża z innem równego gatunku (dziwna miłość własna!). Elewator powinien posiadać wiele podziałów na osobne pomieszczenia. Mieszania zaś będą potrzebowali nie tyle wytwórcy, ile kupcy wysyłający za granicę znaczne zapasy. Opłaty składowe powinny być możliwie najniższe jednocześnie potrzebna jest reforma taryf przewozowych, któraby zapewniła dobre warunki współzawodnictwa produkcyi miejscowej. Z ulg magazynowych korzystać powinno zboże, chociażby z dalekich stron przychodzące, lecz wyłącznie na wywóz przeznaczone. Udzielanie zaliczek na zboże z zastosowaniem małego procentu i przy wygodnych warunkach spłaty, uczestnicy narad uznali za wielce pożyteczne dla rolnictwa i handlu. Również będzie korzystne dla kraju i magazynów połączenie koleją składów zbożowych z przystanią na Wiśle, a może—z projektowanym mostem na łasze Gocławskiej. Interesowani z przyjemnością się dowiedzieli, że komitet giełdowy pracuje nad sprawą giełdy zbożowej tudzież obmyśla projekty taryfowe.

Akcyza. Od 1 września 1894 r. opłata od cukru będzie wynosiła rs. 1 kop. 75 od puda. Rafinerye i fabryki cukru rafinowanego z buraków podlegają opłacie patentowej po rs. 5 za każde 1000 pudów cukru. Te same zakłady ponoszą dodatkową opłatę patentową przed rozpoczęciem produkcyi w każdym peryodzie po 250 rs. za pierwsze 50,000 pudów cukru surowego, przeznaczonego do rafinowania i potem po 5 rs. za każdy następny 1000 pudów wyrobionego i wypuszczonego z fabryki cukru rafinowanego. W fabrykach trudniących się tylko rafinowaniem cukru własnego wyrobu, obliczenie i uiszczanie odbywa się na zasadach ustanowionych dla cukrowni. Wypuszczanie rafinady na sprzedaż dozwolone będzie w osobnych pomieszczeniach, w ilościach nie mniejszych niż 3 pudy w każdem.

— Zarząd jednego z berlińskich zakładów technicznych zwrócił się listownie do właścicieli większych fabryk terpentyny w Królestwie Polskiem z propozycyą zużytkowania gazów palnych do oświetlenia zabudowań fabrycznych i okolicznych budynków gospodarskich (*Kur. warsz.*).

— W prowincyach południowo-zachodnich wkrótce powstaną dwie nowe cukrownie: w Rożynie i Pliskowie.

— W Rostowie nad Donem, jak donosi organ miejscowy, uczuwać się daje dotkliwie zupełny brak ryb, których cena podniosła się niesłychanie. Objaw ten przypisuje dziennik zniżeniu taryf przewozowych i zwiększonej ztąd dostawie ryb do Warszawy.

— Kontrakty kijowskie rozpoczną się 17 b. m. i potrwają do 9 marca.

KRONIKA.

Sprawy społeczne. *Rusk. żizń.* donosi, iż utrzymał się projekt ubezpieczenia na życie lekarzy, studentów i felczerów, delegowanych do miejscowości, dotkniętych epidemią. Lekarze mają być ubezpieczeni do wysokości 5,000 rs., studenci 3,000, felczerzy — 500 rs.

— *Warsz. Dniew.* zamieścił odezwę general-gubernatora stepowego, wzywającą tutejszych rolników i agronomów do osiedlenia się na gruntach nadanych kozakom, przeważnie nad Irtyszem i Iszimem.

— W r. b. ministeryum spraw wewnętrznych postanowiło tytułem próby urządzić wydawanie zaliczeń włościanom na zastaw ich zboża.

— Poruszono znowu sprawę przemianowania Dorpatu na Juriew, a Dynaburga na Dźwińsk.

— W okolicach Radzymina panuje ożywiona parcelacya majątków. W ostatnich czasach włościanie zakupili z dóbr Wola Basztowa 600 morgów ziemi, z Małopola — 120. W obu wypadkach korzystali z pożyczki swego banku.

— W *Zbiorze praw* zamieszczono rozporządzenie, na mocy którego od osób wstępujących do służby w ministeryum wojny wymagana będzie deklaracya o nienależeniu do tajnych stowarzyszeń.

— Zmarły przed kilku tygodniami ślusarz Jan Cybiński pozostawił zapis w kwocie rs. 200, jako początek funduszu na urządzenie zakładu gimnastycznego dla rzemieślników.

— Kasa pożyczkowo-wkładowa przy sądzie okręgowym w Piotrkowie, liczyła w roku ubiegłym 134 uczestników, wkładów obowiązkowych i dobrowolnych rs. 20,883 kop. 71. Obrót sum wyniósł 67,389 rs. Zapomóg bezzwrotnych udzielono rs. 130, dywidenda wynosi 6½%. Zebranie ogólne uchwaliło na rok bieżący 200 rs. na zapomogi bezzwrotne dla uczestników niezamożnych.

— We Lwowie zawiązało się Towarzystwo wzajemnej pomocy dziennikarzy, zamieszkałych w Galicyi i innych prowincyach austryackich. Stowarzyszenie ma na celu doraźną pomoc i emerytury dla dziennikarzy, ich wdów i sierot (*Kuryer warsz.*).

— Przed kilku dniami odbyły się w Mińsku gubernialnym wybory członków rady miejskiej. Wyborców było niespełna 200, udział wzięło 60. Kandydatów na prawo zasiadania w radzie 49, z tej cyfry wybrano 24. Mają oni stanowić odtąd radę wraz z dwoma żydami, których naznaczą władze miejscowe, bo do wyborów nie są dopuszczeni.

— Ostateczny termin do zmiany w sklepach łokci na arszyny upływa z dn. 19 b. m , poczem za używanie miar zabronionych winni będą pociągani do odpowiedzialności sądowej (*Gaz. policyjna*).

Szkoły. Sejm szlachty estońskiej postanowił zamknąć utrzymywaną przez się w Rewlu niemiecką szkołę katedralną i szlachecką, która istnieje od wieku XIII,

— Nowy kurs w szkole pszczelnictwa i ogrodnictwa w Wąwolnicy (pow. nowo-aleksandryjski) rozpocznie się 13 kwietnia r. b.). Kurs dwuletni bez wakacyi, nauka bezpłatna, ale za utrzymanie w internacie uczniowie płacą po rs. 150 rocznie w ratach półrocznych z góry. Dla uczniów uboższych szkoła urządziła trzy kursy półroczne tylko na okres letni. Utrzymanie za kurs półroczny wynosi rs. 75, płatnych kwartalnie z góry. Kierownikiem zakładu jest p. Bartkiewicz.

— Przy ministeryum oświaty utworzony będzie specyalny dział dla zawiadywania szkołami technicznemi i rzemieślniczemi.

— Z Mitawy donoszą o zamknięciu ostatniego z gimnazyów niemieckich w prowincyach nadbałtyckich.

— W austryackiej radzie państwa Barwiński zażądał utworzenia uniwersytetu ruskiego we Lwowie i katedr ruskich dla wykształcenia nauczycieli szkół średnich i nadania gimnazyom w Kołomyi i Przemyślu zupełnej samodzielności.

Sprawy kolejowe. *Birż. Wied.* piszą: „Słyszeliśmy, iż powstał projekt wykupienia kolei Łódzkiej i oddania jej do eksploatacyi Towarzystwa drogi Wiedeńskiej, któreby przyjęłoby na siebie jednocześnie budowę linii obwodowej w Łodzi. Ministerya skarbu i komunikacyi przyszły do przekonania, że budowa jej przez syndykat prywatny nie odpowiadałaby widokom rządu. Ministeryum komunikacyi żąda budowy kolei obwodowej z funduszów państwowych. Natomiast ministeryum skarbu uważa za korzystniejsze powierzyć to zadanie drodze Łódzkiej.“ Do Petersburga udali się już podobno przedstawiciele kolei Wiedeńskiej, zaproszeni przez departament dla porozumienia się w powyższej sprawie

— Od 22 b. m. na wszystkich kolejach rządowych osoby biedne, udające się do stacyi bakteryologicznych dla leczenia się od ukąszeń wściekłych zwierząt, przewożone będą w III klasie za czwartą część ceny biletu, po okazaniu świadectwa władz administracyjnych miejscowych.

Zdrowie publiczne. W straży pogranicznej urządzone będą oddzielne szpitale i ustanowione stałe posady lekarzów weterynaryjnych.

— Wkrótce odbędzie się w Warszawie rewizya sanitarna hurtowych i detalicznych składów win. Składnicy, którzy do klprowania i przeróbek używają szkodliwych dla zdrowia domieszek będą pociągnięci do odpowiedzialności sądowej.

— Państwa zagraniczne, wobec możliwości wybuchu cholery w r. b., zaproponowały rządowi rosyjskiemu przyłączenie się do nich dla wspólnego zastosowania środków, zaprojektowanych przez międzynarodową komisyę sanitarną w Rzymie (r. 1885). Jednym z pierwszych punktów rzeczonej komisyi było ustanowienie jednostajnego typu biuletynu dla wszystkich miast znaczniejszych. O miejscach wybuchu epidemii powinny być niezwłocznie zawiadomione telegraficznie wszystkie państwa. Nadto, w każdym kraju powinno powstać biuro centralne (*d'information et d'avertissement*), które zbierałoby dane statystyczne i udzielało je innym państwom.

Bibliografi. *Łodzianin*, kalendarz informacyjno-adresowy na r. 1893. Zawiera wiele dobrych informacyj ogólnego znaczenia.

— Dr. B. A. Hirszbant, *Ueber Kshemandra's Darpadalana* str. 70. Petersburg.

Odpowiedzi Redakcyi.

Maryanowi Eil Wszystkie formy są zarówno dobre *Maryja i Marya* są najściślejsze, *Marja* — najpraktyczniejszy.

Pani E. B. w Kaliszu. Jeżeli uczniowie i uczennice, którzy przecież najlepiej powinni znać i oceniać zasługi nauczycielskie Śliwińskiego nie poczuwają się do obowiązku uczczenia go pamiątkową tablicą, to wątpimy, ażeby nasze w tym względzie kazanie mogło im tę powinność uświadomić.

Matematyk udziela na godziny lekcyj matematyki i fizyki. Smolna 9, m. 7.

OGŁOSZENIA.

WYDAWNICTWA „PRAWDY.“

J. Brandes. **Główne prądy literatury XIX w.**, tomów cztery, tł. K. Lewald — rs. 6.
Ekonomia polityczna według najznakomitszych badaczów niemieckich ułożona — rs. 3.
L. Liard. **Logika**, tłom. K. Lewald — rs. 1.
A. Espinas. **Społeczeństwa zwierzęce** wraz z dodatkiem ogólnych dziejów socyologi — rs. 3.
Uwaga. Wszystkie powyższe dzieła abonenci *Prawdy* nabywać mogą **za połowę ceny.**
E. Tylor. **Zmysłność i moralność roślin** (w oprawie) — rs. 1.50.
L. H. Morgan. **Społeczeństwo pierwotne**, czyli badanie kolei ludzkiego postępu od dzikości przez barbarzyństwo do cywilizacyi, przekład A. Bąkowskiej — rs. 3.
J. Barni i A. Krzyżanowski. **Męczennicy myśli** (w oprawie) — rs. 1.
W. Okoński. **Dramaty** (Antea, Na targu, Helvia, Poddanka, Błażen, Za maską) — rs. 1.
— **O życie**, powiastki: Chawa Rubin, Karl Krug, Damian Capenko — kop. 50.
— **Klemens Boruta**, powieść — kop. 40.
— **Niewinni**, dramat w trzech aktach — kop. 80.
Dr. Azam. **Charakter w zdrowiu i w chorobie** — rs. 1.
N. Hirszbaud. **Byron** w urywkach, rs. 1. kop. 50.
Dr. F. Rajkowski. **Poradnik lekarski** wraz z apteką domową (w oprawie) — rs. 1.
K. Lewald. **Historya XIX w.**, od r. 1800 - 1888 — rs. 3. k. 30.
E. B. Tylor. **Antropologia** z ilustracyami, przekł. A. Bąkowskiej — rs. 2.
M. Mignet. **Historya Rewolucyi francuskiej**, tomów dwa — rs. 2.

Na koszta przesyłki do każdego rubla należy dołączyć kop. 15.

GŁÓWNY SKŁAD **Krakowskie Przedmieście 38.** FILIA **Marszałkowska 91, róg Żórawiej.**

SIMON I STECKI

Wina i koniaki lecznicze zagraniczne i ruskie oraz likiery. Specyalnie polecamy wina węgierskie od najtańszych do najwyższych gatunków, zalecane dla chorych i rekonwalescentów, jak również herbatę własnego opakowania w cenie rs. 2 k. 16 za funt.

Spółka Nakładowa

zawiązana przez grono pisarzów polskich, ma na celu wydawanie dzieł pierwszorzędnej wartości naukowej i literackiej, oryginalnych i tłomaczonych, wzbogacających istotnie umysłowe zasoby kraju. W przekonaniu, że literatura stanowi ważny i trwały grunt do życia i rozwoju społeczeństwa, że mu dostarcza sił żywotnych. Spółka Nakładowa grunt ten w miarę swej mocy rozszerza nabytkami książkowemi rzetelnej i nieprzygodnej ceny. Dotąd wydane dzieła dość wyraźnie już określają kierunek i charakter jej przedsięwzięcia.

Brandes Jerzy. Główne prądy literatury europejskiej XIX w., tom V. Szkoła romantyczna we Francyi, z portretem autora, str. 402 — rs. 2
Chmielowski Piotr dr. Autorki polskie w. XIX, studyum literacko obyczajowe, ozdobione sześcioma portretami, str. 541 — rs. 2 kop. 50.
Gumplowicz L. System socyologii — rs. 3 kop. 30.
Heine Henryk. Wybór pism, t. I, w przekładzie Maryi Konopnickiej, Józefa Kościelskiego, Aleksandra Kraushara i in. Wydanie ozdobne, z portretem autora, str. 298 — rs. 1 kop. 20.
— Wybór pism, t. II. Podróż do Harcu, Włochy, w przekładzie M. Gawalewicza, C. Jelenty i Maryi Konopnickiej, str. XIII i 328 — rs. 1 kop. 50.
A. Okolski Ustrój państw europejskich i Stanów Zjednoczonych Ameryki — rs. 3.
Smoleński Władysław. Drobna szlachta w Królestwie Polsk., studyum etnograficzno-społeczne, str. 66 — kop. 60.
Spencer Herbert. Zasady etyki, z 3-go wydania oryginału angielskiego przeł. Jan Karłowicz, str. 310 — rs. 2.
Prus Bolesław (Aleksander Głowacki). Szkice i obrazki, tomów cztery, z portretem autora — rs. 5, w ozdobnej oprawie rs. 6 kop. 20.
Światełko, książka dla dzieci, napisana zbiorowo przez grono autorów polskich. Najlepsza w tym rodzaju w literaturze polskiej. W ozdobnej oprawie, z drzeworytami w tekście, str. 274 — rs. 1 kop. 80.

Na koszta przesyłki do każdego rubla należy dołączyć kop. 15.
Biuro i eksped. **Spółki Nakładowej** Warszawa, **Marszałkowska 95.**

Opuściło prasę dzieło p. t.

DZIEJE

Krysztofa z Arciszewa

ARCISZEWSKIEGO

admirała i wodza holendrów w Brazylii, starszego nad armatą koronną za Władysława IV i Jana Kazimierza (1592-1656)

przez

Aleksandra Kraushara.

Dwa tomy. Cena rs. 4, z przesyłką rs. 4 k. 40. — Składy główne u Br. Rymowicza w Petersburgu i u Gebethnera i Wolffa w Warszawie.



Nakładem naszym wyszła

PSYCHOLOGIA DZIECKA

Dr. med. L. Wolberga.

Cena **rs. 2**, z przesyłką pocztową **rs. 2 kop. 20.** Egzemplarze oprawne o **20 kop.** drożej.

Skład Win

P. A. KRZYMIŃSKIEGO

Wierzbowa Nr. 3, w Warszawie,

poleca wszelkie Wina, Koniaki, Likiery zagraniczne oraz Wina Krymskie „**Orcanda**“ z winnic Jego Ces. Wysok. Wielk. Księcia Konstantego.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 29 Января 1893 г. Druk K. Kowalewskiego, ul. Królewska Nr. 29.